

W mroku

Telefon dzwoni długo i natarczywie. Zniecierpliwiona, nie zamierza przerywać prezentacji. Pewnie znowu kolejny bank chce mi wcisnąć jakiś kit - myśli wściekle. - Pani odbierze - przerywają jej studenci, naciska zielony przycisk. W słuchawce płacz siostry jest przejmujący: - Adam nie żyje, przyjeżdżaj natychmiast! Pogoń myśli; Adam, to niemożliwe, był przecież najmłodszy z ich trójki

Co się stało, pewnie wypadek. Jest grudzień, ciemno, mokro, a Adam zawsze jeździł ryzykownie. Boi się pytać o szczegóły. Mój brat nie żyje - rzuca tylko zduszonym głosem w ciemność auli i odpytywa. Kto pomaga jej pakować laptop, kto wzywa taksówkę na dworzec - nie pamięta. Pociąg pędzi przez ciemność, refleksy świateł z mijanych stacji tańczą na jej twarzy. Znowu dzwoni siostra: - Dlaczego nam to zrobić, dlaczego nam to zrobić? - powtarza w kółko. - A więc to nie był wypadek, tylko co...? Anna boi się wyrazić głośno straszne przypuszczenie.

W autobusie spotyka kolegę brata. Pyta ją po co jedzie do niego po nocy. - Tam się coś stało, on nie żyje - mówi.

Zwariowałaś! to niemożliwe, miał montować mi radio w aucie! - prawie krzyczy. Adam nie żyje - powtarza. - Pojadę z tobą, wezmę tylko samochód - decyduje nagle. Ta jego pewność i opanowanie zaczyna jej się udzielać. Może wcale nie jest tak źle, może to rzeczywiście tylko koszmar pomyłka - pociesza siebie w myślach.

Gdy wjeżdżają na podwórze, jeszcze ma nadzieję, jeszcze się ludzi. Nic przecież nie wskazuje na taką katastrofę. Pośrodku obejścia stoją jak zawsze rolnicze maszyny i „terenówka” Adama... W świetle reflektorów stuletnie klony i brzozy rozpięty baśniowo nagie ramiona. Adam nie mógłby tego tak po prostu porzucić, tych drzew, tej przestrzeni - przelatuje jej przez głowę.

Lecz już w domu chwyta ją za gardło strach. Ojciec siedzi przy kuchennym stole z głową wciśniętą w ramiona.

Gdy ją obejmuje mocno, oburącz, jego oczy wilgotnieją. W dużym pokoju pali się gromnica, płomień jasny i nieruchomy zastygł w ciemności. W jego świetle ciemny profil matki przebierającej paciorki różańca jak ze starego sztychu.

- Jakie on miał sumienie, jakie miał sumienie? - pyta bezradnie... Rozmawiała z nim ostatnia, kilka minut przed śmiercią o zwyczajnych gospodarskich sprawach. Za chwilę wyjrzała na podwórze, drzwi garażu były uchylone...

Pogrzeb

Dzień pogrzebu jest szary i zimny. Ciężar ciekawskich spojrzeń nie do udźwignięcia, sylwetka ojca nad trumną złamana. Jego dłonie duże i niezdarne na policzku Adama. Zapach kadziła, świerku, świec. Anna ze zdziwieniem

Henryka Juratowicz-Kurzydło, Słupsk

BOŻE NARODZENIE

*Z zimowego lasu samy wybiegły na drogę
Na mroźnym niebie błysnęły gwiazdy ogień
To w taką noc Bóg ze swej dziedziny
Przyszedł na ziemię do Słowińców krainy
Jakby się ciepłej zrobiło na świecie
Anioły skrzydłami wstrzymały zamiecie
I wody rzek nie ścięły się lodem
Z serc ludzkich nie wiało już chłodem
Betlejemskie gwiazdy kwitną mimo mrozu
Wysłuchał się Bóg w wicher co sztomem dmie w morzu
I zdumiało się Boże Dziecię...
Co by tu dać tym Kaszubom jeszcze
A ludzie prosili...
Nim wrócisz Panie do swego Betlejem
Zostaw nam Miłość Wiarę i Nadzieję*



zauważa siwe niteczki w ciemnej czuprynie brata. Prawa jego brew nieco uniesiona zastęga jakby w wyrazie zdziwienia.

- Wygląda jakby był zadowolony. Spokojny, że to wszystko minęło, że nic już nie boli... - szepce jej ojciec do ucha...

Ślady

Potem dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, krążą po jego śladach, a każdy ślad tnie jak nóż. Psy bardzo długo jeszcze chwytają jego zapach na leśnej dróżce i gnają przed siebie jak szalone przez chaszcze w złudnej nadziei spotkania albo wyskakują z budy szczęśliwe na dźwięk silnika jego samochodu. Matka za każdym razem podrywa się z krzesła, jak ktoś puka podobnie jak on, gdy chciał zrobić jej psikusa. Przypomina go głos w telefonicznej sekretarce z twardym, pomorskim „r”, śmieszne esemesy w skrzynce odbiorczej, lampa reagująca na ruch, zamontowana jego dłoń. Ostatni wpis numeru telefonu w notatniku rozstrzelonym, nerwowym pismem, zielone oziminy na polach, dach na nowym domu, na którym nie zobaczył już śniegu. Przypomina go pęknięte lustro w łazience, które wyleciało mu z rąk na początku tego feralnego grudnia, co skomentował wtedy w ten swój charakterystyczny sposób: „Oj niedobrze, to zły znak”.

Może powinni sprzedać ten dom, ziemię i las. Zetrzeć w pył pamięć o nim. Zwyczajnie odejść, uciec. Lecz trwają, zastygli, niemi. W ciemny sylwestrowy wieczór Anna zakrada się do garażu by spojrzeć przez wąskie okienko na podwórze. Przecież Adam musiał przez nie patrzeć w ostatnich sekundach życia. Dotyka stopni aluminiowej drabinki na darmo wypatrując śladu jego stóp... Na niebie rozbłyskują noworoczne fajerwerki, świat się bawi. Ona już nie należy do tego świata.

Sny

Pierwszy raz śni się jej prawie rok po śmierci. Stoi odwrócony, w roboczym kombinezonie cały spowity w mglisty kokon. Wyraźnie widzi ciemną linię jego pleców, zarys włosów i karku przez tę szarość. Woła do niego z uchyłonych drzwi, wyciąga ręce próbując go dotknąć, błaga by się odwrócił, poszedł. Lecz on zwleka niezdecydowany, jakby się bał, jakby się wstydził i po chwili mglisty cień się rozmywa.

W drugim śnie jest pogodniejszy. Siedzą na podwórzu przy stole w piękny, słoneczny, letni dzień. Wokół pachnie żniwami. Wygłupiają się. Nagle się zrywa, chwytą ze stołu sektor. - Muszę obciąć te żółte kwiaty - woła. - Nie ścinaj ich tak pięknie kwitną - prosi. Lecz on niewzruszony, twardy jakiś, już jej nie słucha, już pędzi w stronę kępy Rudbekii. Chwytą jeszcze ten jego uśmiech trochę zagadkowy, trochę zwycięski,

rzucony jej przez ramię na pożegnanie. I tak na zawsze pozostaje dla niej w tym słońcu, w tym półbrocie...

Wina

Marzy, żeby znaleźć choć jedno zdanie, choć jedno maleńkie słowo wyjaśnienia. Najgorsze, najstraszniejsze słowo byłoby lepsze od tej ciemności bez dna, bez końca w jaką się osunęli. Kiedy nic nie daje przeglądanie ubrań, telefonów, papierów i portfeli Adama, Anna uczepia się myśli, że może wysłał list pocztą przecież zawsze był trochę staroświecki. Każde awizo, każda nieznana koperta w skrzynce przyprawia ją o tomot serca. Gdy i te nadzieje pryskają, zostaje tylko wina. Ojciec nigdy o niej nie mówi. Lecz zdjęcie Adama, które ustawił przy swoim łóżku jest jak wyrzut. Matka nieraz odrywa się od codziennej krzątania, przysiadła na brzegu fotela i zanosi się płaczem jak dziecko. Ten jej samotny płacz jest nie do zniesienia. Anna wciąż od nowa analizuje swoją, ostatnią wizytę. Czemu była tak krótko, czemu nic nie zauważyła. Adam uparł się wtedy, że odgrzeje jej obiad. Nigdy wcześniej tego nie robił. Czy już wówczas to planował? Czy takie miało być jego z nią pożegnanie? Dlaczego?

Odium

Dwa lata po Adamie umiera ojciec. Ludzie mówią, że nie chciał już żyć. Matka odchodzi zaraz po nim. Oprócz utraty syna musiała też udźwignąć ciężar wstydu. Wstyd sączy się powoli i zatruwa. Nagle ktoś, kto zawsze witał się wylewnie tylko się patrzy, albo odwraca głowę i w popłochu ucieka. Ktoś ucina rozmowę. Ktoś nie odbiera telefonów lub zwleka z wizytą, a gdy w końcu przychodzi na samo wspomnienie Adama, szybko zmienia temat rozmowy na błahe. Anna ma już dość przepisów na kaczkę na słodko, dyskusji o polityce i pogodzie. Ma powyżej uszu tych wszystkich dobrych rad: „Weź się w garść.” „Nie przesadzaj.” „Sprzedaj ziemię i zacznij żyć”. Wszystko w niej krzyczy, gdy je słyszy.

Teraz blisko jest tylko z Adamem. Choć pozostał dla niej zagadką, w tym mroku w jaki ją wciągnął już czuje się bezpieczną. Jego ślady już nie ranią, kocha je dotykać. Głęboko w szafie upchnęła jego koszulę zamkniętą szczelnie w foliowej torebce. Czasem, gdy dopada ją ten straszny brak, wyjmuje ją ukradkiem i wdycha ostry zapach męskiego potu...

Helena Leman, Malbork

Opowiadanie uzyskały Nagrodę Główną za prozę w IV Konkursie Literackim dla Nauczycieli zorganizowanym przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku i Stowarzyszenie Edukacyjne Volumin.

Wiersze to drugie moje życie

Rozmowa z Aldoną M. Peplińską
- poetką z Motarzyna

- Wiersze pisze pani od ponad dwudziestu lat. Wcześniej trafiały do szuflady, dziś są publikowane. Ukazały się już też cztery pani tomiki, piąty jest w przygotowaniu. Czym jest dla pani poezja?

- Poezja dla mnie to ucieczka w świat pragnień. Bywa, że staje się balsamem na smutek, łzy, ale przynosi też radość. Pisząc dzielę się z czytelnikami moimi obserwacjami, obawami, lękiem. Staram się pisać prostym słowem, nie ukrywam jednak, że poszukuję też pięknych porównań i przenośni. Na ich

stosowaniu polega przecież prawdziwa poezja. Nie poddaję się znanym stylom, modom, staram się pisać po swojemu, bo zależy mi na głębi przekazu, myśli.

- W naszym zabieganym świecie coraz trudniej o refleksję nad tym, co w życiu jest ważne. Ciągłe gdzieś gonimy, pędzimy, nie zastanawiamy się nad dniem minionym i jutrzejszym, jesteśmy też często niezadowoleni z życia, smutni. W pani wierszach natomiast nie brakuje refleksji. Czy skłania panią do nich tylko wyjątkowa wrażliwość poetycka?

- Wrażliwość na pewno, bez niej trudno być poetką. Ale na mnie szczególnie działa upływ czasu, przemijanie i jego świadomość. Nie mam też łatwego życia, problemy z którymi

się zmagam skłaniają mnie do głębszego zastanowienia nad nimi, a stąd już blisko do poezji. Nie będę oryginalna jeżeli powiem, że wiersze często rodzą się z bólu, przeżytych dramatów. Wtedy są najlepsze, bo szczerze i prawdziwe.

Ale tak jak innych, mnie również dotyka codzienny widok za oknem, w lustrze, szybki bieg kalendarzowych dat, szaleńczy wyścig ulotnych chwil, marność ludzkiego bytu, myśli, a wreszcie czynu. To wszystko przypieczone zostało dotykami choroby, śmierci bliskich, przyjaciół, znajomych. Pchnięte w ramiona smutku zatrzymuje się w moich wierszach, rodzi głębsze refleksje.

- W wielu tekstach ubolewa pani nad nie najlepszą kondycją współczesnego człowieka. Co jeszcze skłania do poezji?

- Budują mnie jako człowieka wielcy ludzie, jak śp. Jan Paweł II - jego wytrwałość, skromność, ogromna pokora wobec życia, szacunek i miłość do drugiego człowieka. Lubię jak dobro przebija się przez barykady zła i udaje mu się zaowocować czasem na bezgranicznym ugorze. Buduje mnie też nadzieja. Niech sobie inni myślą, że jest matką głupich. U mnie umrze ona ostatnia. Mam nadzieję na dobre jutro, bo wierzę, że nadejdzie. Wierzę też w Boga, jego miłość i dobro, które nie krzywdzi. Bo przecież dobro nie może krzywdzić. Buduje mnie również miłość do najbliższych. Ona uskrzydla.

- We współczesnej sztuce artyści coraz częściej prowokują. Nie zawsze wychodzi to na dobre. Zdarza się, że ta

prowokacja zamienia niekiedy sztukę w... sztukę mięsa. Czy poezja jest w stanie wybronić się przed tymi nie zawsze dobrymi trendami?

- Ja staram się dzielnie bronić pięknej strony poezji. Grupy poetyckie do których należę, a są to słupska - „Wtorkowe Spotkania Literackie” i bytowska - „Wers” hołdują tradycji. Słupska bardzo mocno nawiązuje do kultury chłopskiej oraz przedwojennej „Wsi Tworzącej” - wspierającej prostą, piękną i mądrą myśl chłopską. Prawdą jednak jest, iż tworząc strofy o współczesnym realizmie niekiedy akcentujemy mocniej wiodącą myśl. Jest to na pewno jakaś prowokacja do podjęcia rozmowy, walki właśnie słowem o zmianę lub naprawę czegoś. Uważam jednak, że nawet w takich sytuacjach należy zachować subtelność, delikatność przekazu. Złożona poprawnie nie uchybi prawdzie i z równie udanym skutkiem może zwrócić uwagę naszego odbiorcy.

Spoglądając na problem inaczej można powiedzieć, że poezja sama w sobie popadła w niełaskę, coraz mniej się jej czyta. W ogóle ludzie ostatnio bardzo mało czytają książek, gazet, czegokolwiek.

Kuszą komputery, gry, wyszukane zabawki, telefony komórkowe. I trudno jest rywalizować z nowinkami technicznymi.

Ale w szkołach brakuje też zachęty do czytania. Niemodne stały się konkursy recytatorskie. Gdzieś tam przebijają się tylko jakieś nieliczne.

Jest moda, nawet wśród najmłodszych na pisanie wierszy, ale nie ma mody na czytanie prawdziwych poetów, twórców, klasyków. A bez odczytania nie będzie dobrej poezji. Jest mała szansa, by taka powstała. Liryczne strofy pozwalają chociaż na chwilę zapomnieć o trudach, szarości i codzienności otaczającego nas świata, pozwalają pograć się w marzeniach i chociaż przez chwilę cieszyć się spełnieniem pragnień. Czy w dzisiejszych czasach powinniśmy żyć tylko marzeniami? Wielu odpowie, że nie! Ja odpowiem, że nie mając marzeń, nie będziemy lepsi. Człowiek powinien mieć marzenia!

- Pani wiersze są na ogół bardzo osobiste. Traktują o pani dzieciństwie, rodzinie, uczuciach, ale też o wierze w Boga. Szczególnie wzruszające są te o zmarłej mamie. Czy rzeczywiście dobra poezja musi rodzić się z cierpienia? Skądinąd wiem, że powinno towarzyszyć jej cierpienie z... tworzenia?

- W cierpieniu ból przystania wszystko i tylko między oddechem przychodzi opamiętanie, ale na krótko. Jest żal, są pretensje i wiele pytań, które kończą się jednym krótkim - dlaczego? Kiedy ogarnia nas zmęczenie, apatia i odrętwienie myśli, zamiera spojrzenie. Ślepienie rozsądek. Trudno się z tego wybudzić. Gdy to w końcu nadchodzi jest ogromne zawstydzenie i prośba o siłę, o wsparcie i moc. Moc wytrwania w postępowaniu. Wreszcie obietnica, że nie zwątpię, że ufam i mam nadzieję. Dziękuję za to, że znowu widzę, krótko, ale widzę. Że będzie jutro, nieznane, niepewne, ale będzie. I jest chęć. Chęć do oddychania, do działania, do życia. Powraca ona bardzo powoli, ale jest. I nie jest samotna, jest pełna wiary. W takich trudnych chwilach moje pisanie to maść na rany, to psycholog leczący okaleczone myśli. To tlen



w duszności niemocy, plaster, który pomaga i goi moje okaleczenia. Ja jeszcze uważam, że dzieje się to z Bożą pomocą.

- A czy w życiu bywają też chwile szczęśliwe, kiedy nawet pocie brakuje słów, by je wyrazić?

- Szczęście to emocje, pozytywne doświadczenia, rozbowienie, radość. Każdego z nas śmieszy, bawi, cieszy coś innego. Każdy z nas jest inny. Poeta, człowiek wrażliwy na pewno nie przejdzie obok takich doznań obojętnie. Często wykorzysta owe uczucia w swoich tekstach. Myślę jednak, iż bywają takie chwile, gdy w uniesieniu, zachwycie, zauroczeniu brak nam właściwych słów, bądź uważamy, że dostępny słownik, zasób wyrazów czy wyrażań jest zbyt ubogi, by oddał w pełni obraz przeżytych doznań. Jednak jest to sprawa bardzo indywidualna. Bywa, iż w amoku euforii nie znajdujemy możliwości przelania na papier myśli kłębiących się w głowie, uczuć płynących prosto z serca. Próbujemy zrobić to później, szukając sposobów na utrwalenie takich chwil. Nie zawsze jest to to czego szukamy i zdarza się nam spotkać ulotną myśl, którą trudno dogonić.

- Pani wiersze dla dzieci często są bajkami opowiedzianymi z rymem. Jeden z tomików z takimi wierszami - „I uszatkę bałwan dostał” powstał we współpracy z innymi poetami oraz z dziećmi, które wykonały ilustracje do niektórych wierszy. Czy łatwo współpracuje się z innymi poetami?

- Nie zawsze bywa to łatwa praca, ale czy może być łatwa? Każdy ma inne tzw. poetyckie pióro, inne oczekiwania, uprawia chociaż podobny, to jednak inny rodzaj poezji. Nam współpracę ułatwił wspólny cel. Gdy obmyślałam projekt tomiku, wiedziałam, że spotka się on z zainteresowaniem dzieci, ale nie sądziłam, że też z udziałem w nim innych poetów. To przekonało mnie, że warto podjąć próbę negocjacji pomysłów i pokonać trud pozostałych działań. Nie udało by się tego dokonać bez olbrzymiej pomocy osób postronnych - bezpośrednio nie zainteresowanych umieszczeniem w tomiku swoich wierszy. Cieszę się, że ten wspólny trud okazał się sukcesem. To zmobilizowało mnie do realizacji kolejnych pomysłów. Ukazał się już drugi tomik wierszy z Bałwankiem, który został również dobrze przyjęty przez młodych czytelników. Obecnie kończę pracę na kolejnym tomikiem, który powinien ukazać się jeszcze w tym roku. Mogę zdradzić, że będzie w nim już więcej wierszy ambitniejszych dla dzieci. Tego zażyczył sobie wydawca i znacznie wyżej podniósł mi poprzeczkę. Ale to dobrze. A jeśli chodzi o dzieci to uwielbiam z nimi pracować. Większość autorów ilustracji moich wierszy to... moi wychowankowie ze świetlicy wiejskiej, w której prowadzę zajęcia. Przez kilka lat zdążyliśmy się dobrze poznać i to oni najwcześniej poznają moje nowe wiersze.

Rozmawiał: Andrzej Juchowicz, Słupsk



Poetycko w Kobylnicy

Poetka i malarka, Bogumiła Skomoroko ze Słupska otrzymała pierwszą nagrodę za wiersz „Tato” w Turnieju Jednego Wiersza zorganizowanym na III Biesiadzie Poetyckiej „Czytajmy poezję” w Kobylnicy

Biesiada odbyła się tradycyjnie w Centrum Kultury i Promocji, w piątek, 6 listopada. Tym razem zorganizowała ją Gmina Biblioteka Publiczna ze słupskim starostwem powiatowym i podlegającym mu Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku, które ufundowało główną nagrodę w Turnieju Jednego Wiersza. Do Kobylnicy przyjechało blisko 80 poetów i ich przyjaciół z regionu słupskiego. Spiewano poezję, prezentowano najnowsze wydawnictwa książkowe z wierszami i ich autorów, poezję napisaną przez najmłodszych uczestników regionalnego konkursu dla dzieci i młodzieży „Lekkie Piórko”, wystawę malarstwa Jacka Adamczyka z Korzybia i nietypową wystawę prac plastycznych z... zapatek Witolda Orzecha z Kobylnicy.

Do Turnieju Jednego Wiersza zgłosiło się ponad 20 twórców pięknego słowa, każdy musiał sam zaprezentować swój wiersz. Prezentacje oceniało jury w składzie: Sławomir Rzepczyński - literaturoznawca, profesor Akademii Pomorskiej w Słupsku, Jerzy Fryckowski - prezes Oddziału ZLP w Słupsku, członek Komisji kwalifikacyjnej przy ZLP, Katarzyna Nazaruk z Gdyni - pomysłodawczyni Biesiady, Andrzej Szczepanik z Bytowa - główny laureat dwóch wcześniejszych edycji turnieju.

Pierwsze miejsce jury przyznało Bogumile Skomoroko ze Słupska za wiersz „Tato”, drugie - Aldonie Peplińskiej z Motarzyna za „Powroty”, trzecie Bożenie Łazorczyk ze Słupska za „Po śmierci siostry”. Wyróżnienia otrzymali: Eliza Frąckowiak

ze Słupska za wiersz „Świetliste gromady” i Anna Krawczuk z Kobylnicy za „Exodus”.

Wszyscy laureaci otrzymali bony lub wartościowe nagrody rzeczowe ufundowane przez Gminną Bibliotekę Publiczną w Kobylnicy - głównego organizatora Turnieju

i Biesiady, wspomniane już Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku i Wójta Gminy Kobylnica. Laureatów trzech pierwszych miejsc uhonorowano dodatkowo pięknymi statuetkami przygotowanymi przez Słupski Ośrodek Kultury. (Z)

Nagrodzone wiersze

Bogumiła Skomorko - I nagroda

TATO

Pamiętam jego ręce -
zgrubiałe od pracy
i ubrudzone ziemią,
gdy delikatnie
dotykał kwiatów w ogrodzie.
Na pewno to były goździki
floksy i róże...
Pamiętam
jak paleta odcieni
różu i fioleto
zadziwiła bogactwem barw i kształtów.
A ja układałam bukiety w wazonach
w sobotę - gdy w pokoju
pachniało już czystością
i pastą do podłóg.
Twoje ręce tato
podawały mi ścinane kwiaty
- uważaj, nie połam - słyszałam.
Twój ogród tato -
kwiecistość od frontu
i morze zieleni za domem
i pochylone od świtu plecy
i twoje zatroskanie
i zmęczenie
i złożone wieczorem do modlitwy
Twoje ręce.

Aldona M. Peplińska - II nagroda

POWROTY

Wróciłam tam na chwilę. Przytuliłam młodość.
Pozbierałam pogubione zabawki,
Odkurzyłam pozostałości zdjęcia przodków.
Usiadłam, wsłuchiłam w słowa matki...
A gdy weszłam na strych zapłakało niebo.
Stukało kropelkami o szyby ścigając z wiatrem.
Zobaczyłam małą haftowaną sukienkę
z koronką.
Pamiętam jak mama ręcznie szyła ją dla mnie,
Bym mogła być królową. Odnalazłam
świeżość.
Przez zaparowane okna ujrzałam tamtą wieś.
Tatę jadącego wozem, braci kłócących
o motykę
Ogromną brzozę, która jeszcze nie wie,
Że wkrótce spali ją srogi palec pionuna.
Młodość u sąsiadki na schodach,
Zadowoloną z eskaerowskich zarobków.



Wśród nich ja z pajdą chleba.
Nogi o ściemisku już zapomniały,
Po zielsku z kartofli na dłoniach ani śladu.
Teraz tylko frajda niekontrolowanych zakupów
Chociaż nie, najpierw książki i zeszyty
I do domu, coś do chleba...
Uspiły mnie delikatne takty jesiennej pogody
Cicho stąpające po spróchniałych belkach.
I wędrowałam dalej, w ramiona pierwszej
miłości,
W uśmiech własnego dziecka.
By zbudził mnie ból terażniejszości, która
Bezlitośnie droczy się z opadającą łzą
tęsknoty...

Bożena Łazorczyk - III nagroda

PO ŚMIERCI SIOSTRY...

W ogóle mnie nie obchodzi
że jesień odchodzi
nie obchodzą mnie mgły poranne
deszcze ulewne wiatry naganne
nie obchodzą mnie ptaków odloty
zimne poranki cudze tęsknoty
nie obchodzą mnie smutki jesienne
kwiaty obumarłe pogody zmienne
nie obchodzi mnie dokąd zmierza świat
i ile ból może dodać lat...
kolejna bezsenna noc nadchodzi
by się przekonać
jak mnie nic nie obchodzi...

Eliza Frąckowiak - Wyróżnienie

ŚWIETLISTE GROMADY

Są wschody radosne
i zachody ponure.
Dzień za dniem

wędruje po ziemi.
Z utraconą nadzieją
i z odwagą w sercu.
Niosę światu
to co czas zabiera.
Chciałabym być słońcem
i księżycem,
ale nigdy gwiazdą.
Bo słońce nie gaśnie,
a księżyc odbija jego światło.
Gwiazdy raz wschodzą,
a raz gasną,
więc pozwól mi mój miły,
że nie będę gwiazdą.

Anna Krawczuk - Wyróżnienie

EXODUS

Uciekaliśmy
przed upodleniem i śmiercią
głodni i brudni
matki z małymi dziećmi na rękach
chłopcy, dziewczęta i starcy
wielu nie doszło nad morze
ja tylko z bratem
ciągnął mnie za rękę
bym nie została na pustyni
jak matka i siostra
przepętlone statki dobiły do brzegu
ujrzeliśmy białe miasto
z wysokimi wieżami i złotymi kopułami
pięknie ubrani ludzie tłoczyli się na ulicach
nie wiedzieli jak wygląda wojna
smak ciepłego jedzenia i słodkich owoców
obudził nadzieję
w czystych łózkach sny nabierały kolorów
w cieniu minaretów wracaliśmy do życia
my - polscy uchodźcy z Syberii.

Daj, ac' ja pobruszę...



Paradoksalnie źródłem do dziejów języka polskiego są pisane po łacinie kroniki i roczniki oraz kodeksy dyplomatyczne. W nich pojawiały się polskie nazwy miejscowe i imiona. Natomiast, jak pisał Witold Tazszycki we wstępie do „Najdawniejszych zabytków języka polskiego”, najwcześniejszym pomnikiem języka polskiego o charakterze ciągłym jest zdanie z „Księgi henrykowskiej”

Liber foundationis claustris sanctae Mariae Virginis in Heinrichow, czyli Księgę założenia klasztoru świętej Marii Dziewicy w Henrykowie, znaną jako „Księga henrykowska” spisywał syn niemieckich kolonistów, zakonnik Piotr, który przybył w maju 1227 roku z Lubiąża z dziewięcioma innymi zakonnikami tworzącymi pierwszy konwent zakonny w Henrykowie, opat onego klasztoru.

Doprowadził historię ulokowanego w 1228 roku klasztoru do roku 1259 zasiadając, jak podpowiada mi wyobraźnia, przez cztery lata (1268-1273) w chwilach wolnych od modlitwy i codziennych obowiązków nad czystymi pergaminowymi kartami i starannie kaligrafując łacińskie słowa gęsim piórem maczanym w robionym zmyslnym sposobem inkauscie. Opisywał dzieje założenia i uposażania klasztoru, badając dokumenty i przesłuchując świadków. Inny zakonnik cysterskiego zgromadzenia, którego imienia nie znamy, doprowadził historię opactwa do roku 1310. Dla ścisłości warto dodać, że badacze wyróżniają kilka charakterów pisma, co może wskazywać na jego zmiany z upływem lat piszącego bądź udział innych zakonników.

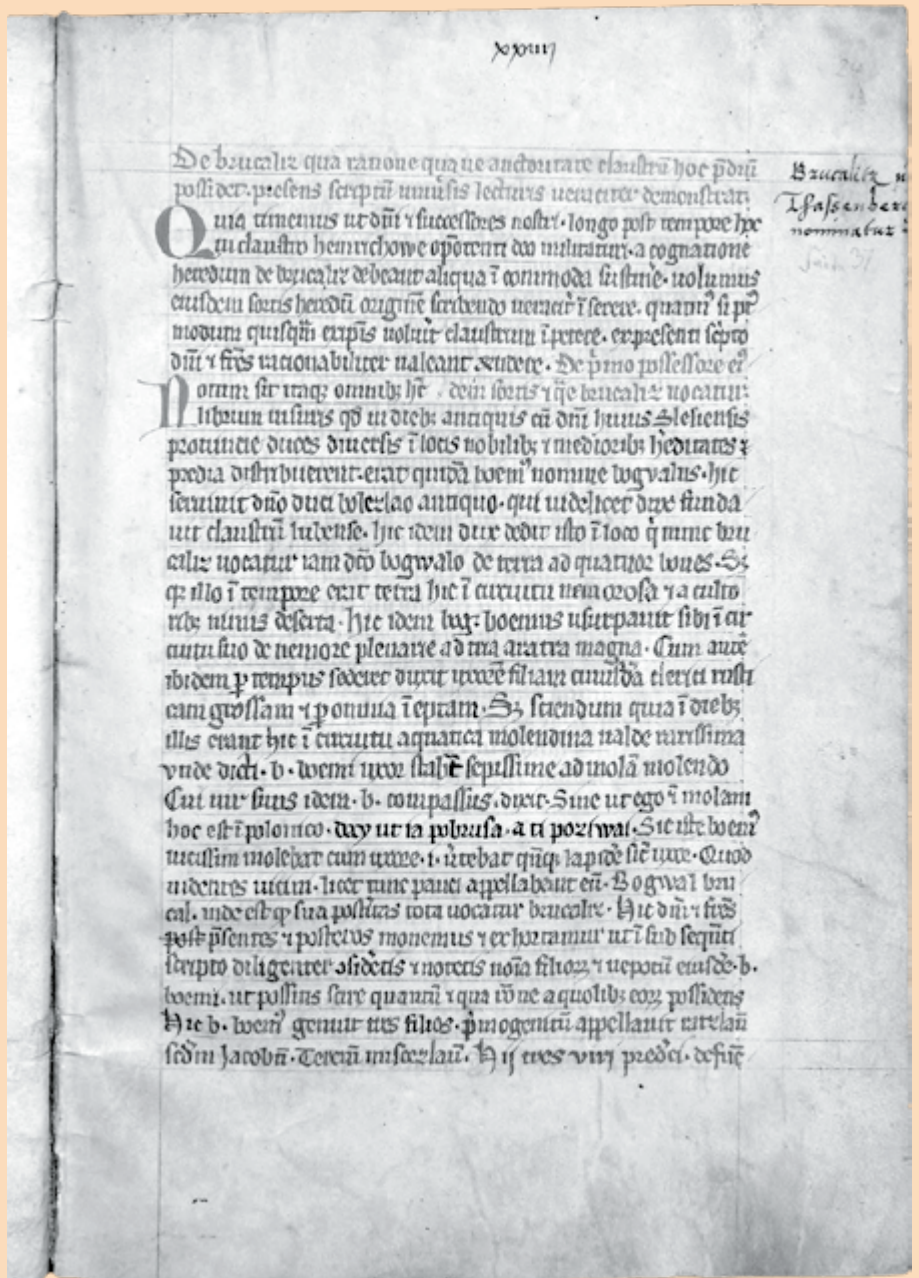
Przez wieki dokument znali nieliczni zapaleńcy, poszukiwacze najdawniejszych historii, ogólną wiedzą o kronice musieli wykazać się studenci polonistyki, dlatego pierwsze zdanie zapisane w staropolskiej wersji przedostawało się z trudem do powszechnej świadomości, trudniej niż Rejowe „Polacy nie gęsi”. Przeszkodą były nie klasztorne mury, ale przede wszystkim znajomość łaciny tylko przez nielicznych, choć łacina była „uczonym” językiem pierwszych zabytków piśmiennictwa polskiego. Paradoksalnie źródłem do dziejów języka polskiego są pisane po łacinie kroniki i roczniki oraz kodeksy dyplomatyczne. W nich pojawiały się polskie nazwy miejscowe i imiona. Natomiast, jak pisał Witold Tazszycki we wstępie do „Najdawniejszych zabytków języka polskiego”, najwcześniejszym pomnikiem języka polskiego o charakterze ciągłym jest zdanie z „Księgi henrykowskiej”. Księga ma

jeszcze jeden istotny walor: „Dzięki „Księdze henrykowskiej” możemy własnymi oczyma obserwować procesy, których bez niej tylko na podstawie rozważań czysto teoretycznych przyszłoby się nam domyślać” - pisał dalej prof. W. Tazszycki

Z satysfakcją przyjmuję fakt, że dzięki Internetowi, rozwojowi technik cyfrowych, mogę bez trudu pokonać przeszkody. „Księga henrykowska” jest dostępna dla każdego pod internetowym adresem: <http://digital.fides.org.pl/dlibra/docmetadata?id=744>, zarówno w wersji oryginalnej, czyli po łacinie, jak i w polskim tłumaczeniu, z objaśnieniami.

Dodatkową zachętą do poznania zabytku niech będzie fakt jego światowej rangi. A było tak: w lutym 2014 roku archidiecezja wrocławska piórem arcybiskupa Józefa Kupnego podpisała wnioski i z inicjatywy prezydenta Wrocławia Rafała Dutkiewicza zwróciła się o wpisanie „Księgi henrykowskiej” na listę „Pamięć Świata” UNESCO.

W uzasadnieniu słusznie wskazano, że księga jest unikatowym „źródłem do poznania procesów wymiany kulturowej, które w średniowieczu zdecydowały o kształcie przyszłej Europy”. W październiku 2015 „Księga henrykowska” została



wpisana na funkcjonującą od 1992 roku listę „Pamięć Świata”, na którą co dwa lata wpisywane są zabytki o szczególnym znaczeniu cywilizacyjnym. Znajdują się na niej między innymi: „De revolutionibus” Mikołaja Kopernika, rękopisy Fryderyka Chopina, a także Tablice 21 Postulatów Gdańskich z Sierpnia 1980 roku.

Z „Księgi henrykowskiej” w tłumaczeniu Romana Grodeckiego warto poznać fragment ze zdaniem dla nas najważniejszym: „day ut ia pobrusa, a ti poziwai”, które można tłumaczyć „pozwól, ja będę mełł, a ty odpocznij”. W oryginale znajduje się na s. 24 wiersz 9 od dołu. „O pierwszym posiadaczu tego zrębu i dlaczego nazywa się on Brukalice. Niechaj tedy będzie wiadomo wszystkim, którzy zajrzą do tej książki, że za dni dawnych, gdy panowie książęta tej śląskiej prowincji w różnych miejscach rozdawali szlachcie i włodkom dziedzictwa i włości, był pewien Czech, imieniem Boguchwał. Służył on księciu panu Bolesławowi staremu, temu, co klasztor lubiąski. Ten to książę dał w tym miejscu, które obecnie nazywa się Brukalice, wspomnianemu Boguchwałowi obszar ziemi do 4 wofów. Lecz że w owym czasie ziemia była tu w okolicy lesista i zupełnie pozbawiona osadników, tenże Boguchwał Czech przywłaszczył sobie w swojej okolicy część puszczy dokładnie w liczbie 3 wielkich pługów. Gdy zaś tam przez pewien czas przemieszkował, pojął za żonę córkę jakiegoś kleryka, chłopkę grubą i zupełnie niezdatną. Lecz trzeba wiedzieć, że za owych dni były tu w okolicy młyny wodne ogromnie rzadkie, przeto żona tego Boguchwała Czecha stała bardzo często przy żarnach mieląc. Litując się nad nią mąż jej Boguchwał mówił: „Daj, bym ja też mełł!” - to jest po polsku: „Daj, acj ja pobruszę a ty poczywaj!”. Tak ów Czech na zmianę mełł z żoną i często obracał kamień tak jak żona. Co widząc sąsiedzi, chociaż wówczas nieliczni, nazywali go: „Boguchwał Brukał” i stąd pochodzi, że jego całe potomstwo nazywa się Brukalice.” (str. 52-53)

Profesor (historyk mediewista) Roman Grodecki w przypisach dołączył różniące się nieco od własnego objaśnienie Zenona Klemensiewicza. Ta prawdziwa historia czeskiego chłopa i jego polskiej żony zapisana po łacinie przez niemieckiego opata Piotra w klasztorze cystersów w Henrykowie

jest opowieścią poruszającą wyobraźnię. Jedno polskie zdanie w niej zapisane wypełnia półtoragodzinny wykład profesora Kazimierza Nowosielskiego. Brzmi ono: „daj, acj ja pobruszę, a ty poczywaj” (w oryginalnym zapisie: day, ut ia pobrusa, a ti poziwai).

Gdański naukowiec, poeta wierny swemu pochodzeniu, zwraca uwagę na prozaiczność, a jednocześnie doniosłość „ciężkiej pracy nad darem ziemi, nad ziarnem, które pod obracającym kamieniem zmienia się w mąkę, z której z kolei niezbędny do życia chleb.” W dalszej części Kazimierz Nowosielski poetycko opisuje scenę dwojga małżonków przy wspólnej pracy, podkreślając ewangeliczny charakter zdarzenia. „Tak więc u początków polskiej kultury nie stoi obraz jakiejś utraconej Arkadii (...), ale wprost przeciwnie: u jej źródła stoi prawda o nieomijalności ogromnego trudu w porządku zamieszkiwania na danej i zadanej nam ziemi”. Jedno zdanie, a zawiera całe bogactwo syntaktyki, kontekst kultury materialnej, rodzinnej, obyczajowej trzynastowiecznego pogranicza, gdzie kształtowały się podwaliny polskości Śląska.

Ponadto wciąż trwa spór o brzmienie końcówek: polskie, czeskie czy w dialekcie śląskim? - Pomijając kwestię czy to zdanie polskie, czy czeskie, na pewno ma ono wielkie znaczenie nie tylko jeśli chodzi o historię języka, ale także z punktu widzenia historii kultury - mówi dr Jan Kamieniecki z Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego. - Zawsze mówię moim studentom, że wtedy pierwszy raz mężczyzna zachował się elegancko wobec kobiety. (Za Gazetą Wrocławską.)

I zostało to zapisane - dodajmy.

Współcześni Ślązacy używają słowa brusić, mającego takie samo znaczenie jak polski czasownik „ostrzyć”. Słowo to w niektórych regionach przyjmuje brzmienie „pobrusza”. Natomiast we wsi Brukalice niedaleko Henrykowa, gdzie ongiś Boguchwał lub Boguchwał narażając się na uszczypliwość sąsiadów i przezwisko Brukał, wyręczał w ciężkiej pracy swą żonę, znajduje się oryginalna atrakcja turystyczna - wystawiony w 1970 roku pomnik pierwszego zapisu polskiego zdania.

Pierwsza ojczyzna w języku, nie zapomnijmy

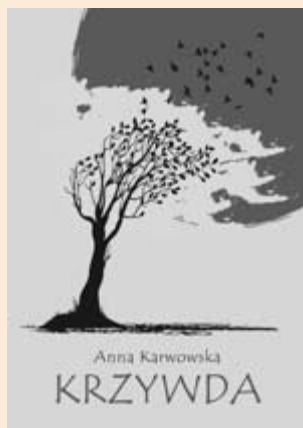
Czesława Długoszek, Objazda

Dzieła dawnych ludzi w niepamięć idą

O dziwo, dla niej PGR w jej wsi Dobieszewko jednak był fundamentem życia, choć dla innych był pogardą. Bo to była zniewolona praca w XX wieku. A. Karwowska historycznie jednak została przy tym świetlanym uczuciu i, jako była dojarka, zamieniła widły na pióro i z nostalgią pisze o tamtym minionym okresie. A wielu ludziom nowy system na wsi przysporzył zmian na lepsze, odnaleźli się - choć krów nie widuje się już na łąkach tak jak za tamtych czasów.

Poetka Karwowska chce udowodnić - i ma poniekąd rację - iż ludzie po peegerowskiej likwidacji zostali odrzuceni od cywilizacji; mają małe emerytury, renty, socjalne świadczenia - które nie są podstawą do normalnego życia. Etos pracy znikł, pozostało się starzeć i spędzać czas przy telewizorze. Przyszło starzeć się z komercją.

Tradycyjnie szukam zawsze w wierszach artystycznego języka, i takim przykładem jest wiersz „Życie ulatnia się”:



Nie jest łatwo czytać wiersze Anny Karwowskiej z najnowszego tomiku pt. „Krzywda”. Sam tytuł nie zachęca. Autorka krąży w swoim świecie od lat, można powiedzieć, że od 1989 roku cierpi, kiedy w Polsce nadeszły zmiany i zaczęto likwidować PGR-y



*Podpieram się białą kartką,
szpary szyb zatykam słowami,
by nie uciekła muza
i nie zatracić nadziei w ludziach. (...)
Niech się ten wiersz toczy
jak jasne spojrzenie w oczy -
prosto jak podanie ręki.*

„A przecież Bóg niczego nie chce” - poetka przypomina, niczego nie chce, to tak zwani słudzy w kościołach przeliczają wszystko na pieniądze, jest taryfa i trzeba płacić: za urodzenie, za życie, za śmierć. Poukładane to jak w czarnej bajce... Nie ma pieniędzy to i pogrzeb odbywa się bez księdza. Tak było też na przykład u mego sąsiada w Ustce.

W wierszu „Zagubione paciorki” czytam:

*z pokorą kładę ręce na Twoje kolana,
przymykam oczy i przyrzekam,
kiedy w dym będą szły jabłonie,
kiedy szkło ziemi będzie się topić,
pobiegnę z konewką do pożaru
z liściem zielonym na głowie -
bo paciorków już nie mam.*

Poetka Karwowska w swoich wierszach szuka Boga i pyta: „Gdzie on jest? (...) Chcę choć raz stanąć obok”. W moim przypadku jest tak, że ja głoszę, iż Bóg jest moim przyjacielem, a ja jestem jego przyjacielem - bez tak zwanych dodatków w modlitwach. Ja mam swoje modlitwy, przyziemskie. Mój Bóg każe mi tylko o nim pamiętać i go szanować...

Poetka, choć jest zadziorna i z charakterem, kucą czasem, by tę swoją ukochaną ziemię ucałować. Pisze o tym w swoich wierszach, manifestuje wręcz, choć jest samotna

W wierszu „Jak pisać”, czytamy:

*czas notować, by nie zatarł się
wczorajszy dzień
i korozja nie zjadła pamięci.*

Dosadny jest też wiersz „Trzymam w dłoni”. Trzyma w dłoniach swoje pół wieku, które powiało historią... I płyną słowa poetyckim brzmieniem:

*W krajobrazie wsi
życie rosło twardo, krzepło w trudzie,
tężało w polu, słońcu, burzach,
błyskach oczu, w przyjaźniach dzieci,
które brały się za ręce.
Na tej pomorskiej, małej wsi
aromat młodości wydziela
każdy kamień, krzew, każdy chwast.
Czas różgę jaśminu ściał,
wystugał, wygładził - i jako
ołówek w moje ręce włożył.*

Poetka pozdrawia tamten czas, jest jakby jego lustrem, wystarczy spojrzeć w jej cudownie obdarzone kolorem oczy. Urok jej twarzy pozostał, dumna to twarz, choć pokryta bruzdami ziemi. Ma za sobą dzieciństwo i młodość, a teraz tylko

skrzydła tak dojrzałe, że płyną nostalgią. Tę jej wierność podziwiam, kobieta to anielska, z sercem dla innych, którzy są jej podobni. To w jednej osobie parlament wsi polskiej, parlament pracy i nie na odkupienie, a na zrozumienie, że wieś jest częścią kraju, że nie można pozwolić, by stała się skansenem.

Poetka pisze: „stać mnie tylko na milczenie”. Czy można się z nią zgodzić? Przecież milczenie jest poza jej zasięgiem. Wiersz nigdy nie milczy, on jest, on bywa w zasięgu nas. Czytamy i rozumiemy ten życiorys wierszowany w kobiecie, choć ucieka jakby prosząc: „nie wołaj mnie do śpiewania”...

A. Karwowska wciąż podróżuje, ale jest to podróż w przeszłość. To bolesna podróż. Nie jest łatwo zmierzyć jej ból. Mógłbym odpowiedzieć: zostaw tamtą epokę! Ona nie była przyzwyczajona, bo Polska była

zniewolona i ludzi zniewalała. Ale jestem pewny, że ona nie postuluje. W wierszu „Podróż” pisze:

*Szłam - niosąc i tuląc widły na ramieniu
jak jeż jabłko na grzbiecie,
ofiarnie strzegłam pól,
by mieć za co żyć. (...)
Próbuję wyrównać czas terazniejszy,
ze skrzepem mózgu,
z echem zmiętego żalu.*



i jakby post był jej codzienną strawą. Mimo to podnosi się i rewolucyjnie walczy w swoich strofach, choć wie że, nie sposób przywrócić dawny świat młodości:

*Muszę zgodzić się z wyrokiem bożym
i cicho siedzieć - choć pod ojca okiem.*

Ale nie siedzi cicho. A. Karwowska stworzona z rajskiej jabłoni, emocjonalna do szpiku, przewraca w mgłach swoje okrzyki i dzierży swe pióro jakby to była jej broń przeciw okaleczeniom, gdzie skrzydło egoizmu jest wichurą historii.

W wierszu „Moja krewna” napisała:

*Moja krewna to wieś obita polami,
pająki, co przywiązują mnie do babiej nitki,
pszczoła, co w przestrzeni patrzy zielenią.*

Napisała też: „historię kroków (...) poznają nawet kamienie”. Cóż, one przetrwają, może pamiętać będą, że we wsi Dobieszewko zaiste wierna kobieta do tej ziemi poetką się stała i opisywała to, czego nikt przed nią nie zrobił.

A. Karwowska to niespokojna istota, i trzeba jej wierzyć, że tam gdzie mieszka, gdzie spędziła większość swoich lat

pisze szczerze, jak w wierszu „Życiorys”: „niech ta pomorska ziemia bluszczem i wierszami obrasta.”

Czytam te jej niepokoje, tak głęboko wryte, jakby sama była tą ziemią.

Omówiłem wiersze z dwóch rozdziałów najnowszego tomiku A. Karwoskiej: „Wiersze rozproszone” i „Brzemień życia”. Wiersze z pierwszego rozdziału „Żurawi krzyk” zostawiłem na następny raz.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

Anna Karwowska: „Krzywda”, Starostwo Powiatowe w Słupsku, 2015, ISBN 978-83-60228-63-0.

Moje książki to mały cmentarzyk



*Sam nie wiem, kiedy minęło 40-lecie
mojej twórczości... Wybrałem w życiu
to, czego nie powinienem, sam wpadłem
w pułapkę. Tak, to słuszne stwierdzenie,
iż poezja jako literatura piękna może
zniewolić twórcę; ona wszak zniewala!*

Gdybym był zamożny, pewnie bym wydał moje napisane książki - tyle tych wierszy zasnęło samoczynną ciszą. Wróciłem do kraju z emigracji ponad dwadzieścia jeden lat temu, i czy któryś z burmistrzów w Ustce zadbał o to by wydać moje książki? Nie. Dlatego nie, bo ważniejsze są drogi i chodniki. Po co w ogóle władzom jest potrzebna literatura? No, po co, poeto?

Wczoraj w Dzień Wszystkich Świętych, stanąłem nad grobem Leszka Bakuły i jego małżonki Krystyny, zapaliłem znicz i położyłem pod jego fotografią jedną gałązkę chryzantemy - jeden kwiat, symboliczny. Nigdy nie omieszkałem pozdrowić kolegi - pisarza, wszak byliśmy literackimi kumplami. Patrzę na datę, rok 1997 kiedy odszedł - jakże ten czas szybko

mija. Zaszedłem do grobu Jerzego Izdebskiego, też był twórcą i artystą - między innymi to on pierwszy napisał recenzję do moich wierszy umieszczonych w wydanym w 2001 roku tomiku „W krainie żebraków słyszę bluesa” (prawdziwy mój debiut, choć wydałem w Monachium w 1987 roku w małym nakładzie „Słowo” i „Oaza Polska”; czternaście lat po debiucie Starostwo Powiatowe w Słupsku wydało mi tomik pt. „W ogrodzie Norwida”, czego oczywiście nie mogę przemilczeć). Okazało się, że nie ma grobu Jurka, znikł. Pomyślałem sobie, że zmartwychwstał!

Napisałem kilkadziesiąt książek. Chciałbym jeszcze wydać „Kraj Herberta”. Moje książki to taki mały cmentarzyk, ukryty wszak, bo wiem że tych tytułów nigdy już nie wydám. Nie lubię się prosić. Mam taki pancerz w sobie, to Duma.

We wspomnianym debiucie napisałem szkic „Mój autoportret: poeta wolności”, a w nim: „Wyklutem się z jaja poezji - i tylko w nią wierzę, właśnie z poezją (duchowo wziętem ślub), zawarłem związek. Jako poeta wolności jestem zwolennikiem wolnej przestrzeni, wolnej przyrody, wolnej racji każdego najmniejszego zaistnienia”.

**Zygmunt Jan Prusiński
Ustka**

OCENY

wiersze najnowsze

Izabela Iwańczuk, Słupsk

IDA ŚWIĘTA RABAT NA ŚWIAT

chorujesz na mnie
dwadzieścia procent mniej

na chory świat
pięćdziesiąt procent taniej

na tv led laptop tablet
na miłość najlepsze gratisy miłości

na miłość nie ma sił
na filmową piosenkę

na wszystko gratis
tylko u Boga

przymglone światło promieniuje
w cztery strony
z telebimu nieba

HIT ZA HITEM

niebo płacze niegrzecznymi
teledyskami grzesznych gwiazd
promocja pośladeków trwa
maślane croissanty dnia
przyspieszają reklamami każą
wachać storczyka mini
otwierać adwentowe czekoladki
kosztować ptasie mleczko
o smaku balonówki
owocowe półksiężyc galaretek
lizać choinkowe sople

Krystyna Wojewoda, Miastko

PRZEMIANA

Mnie już nie potrzeba się spieszyć
Nowości świata nie jestem ciekawy
Nie ogarnę wszystkiego rozumem
i wzrokiem, jestem na to za stary.

Kroki moje chwiejne, niepewne
tętna swojego w żyłach nie czuję
Mądrości wywiały wiatry z głowy
jak przez rozwarne na oścież wierzeje.

Staję się coraz bardziej samotny
bo wcale nie pragnę przyjaciół
Z sobą najprościej rozmawiam
nie cierpię pochlebstwa i wrogów.

Nie będzie słów pięknych, gestów
przyjaznych, wina sączenia przy kominku
Bo życie już we mnie zamiera
przemienię się w wigilijną choinkę..

Nie będzie mi spieszo na pasterkę
śpiewać mi będą kołedy pod drzewkiem
Po świętach ogołocą z ozdóbek
a potem wyrzucą na śmietnik

Bezdomni je znajdą rozpalą ognisko
Ogrzeją zziębnięte ciała w łachmanach
Z płonących gałązek wystrzeli ma
dusza i jak z błyskiem komety trafi
prosto do nieba.

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

LISTOPADOWE PACIORKI

Ciemna suknia ziemskiego oblicza
Przywdziała korzuch błyskotek
A ono specjalnie zapaliło księżycowy abażur
Srebrzystym neonem
By wzbudzić zazdrość jesiennych dni

Rozanielone poczęło zaglądać do okien
Zapraszać spacerowiczów
Kusić wspaniałym urokiem
Aż niebo sprzeciw dało
Na próżności harce
I posypały się paciorki
Kryształków

Księżyc obrażony przechodniom zgasił światło
Listopad zawstydzony westchnął...
I po bajce.

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

PROLOG DO JESIENI

Wyszedłem na spacer szukam
wiersza
ale na wiersze skończył się sezon
Rosty pod drzewami w parku
zbierać je można było
na łące wokół rzeki

teraz nie ma pusto

To jak z opuszczonymi gniazdami
ptaków
wykluły się pisklęta odrosły
odleciały
do innych równin na inne
wyzyny wyobraźni

Siedzę w parku i obserwuję jak
przeze mnie przepływa rzeka
czasu
chłodny nurt zagarnia wszystko
myśli kobyszą się
na falach marzeń

Rzeka czasu nurt wspomnień
WCZORAJ wpisuje się w księgi
w kamień nagrobków
w lustra wyobraźni
Nie chcę oglądać w nich
swojej twarzy

Gdańsk, 12.11.2015

Grzegorz Chwieduk, Kępice

TĘSKNIĘ

Tęsknię za Magdą codziennie
jak się tęskni za niedzielą.
Na próżno próbuję teraz
wyzwolić się z mocy wspomnień.

Czasem myślę, że to dziewczę
zdarzyło się niepotrzebnie.
Mało znaczące czynności
wypełniają zimne chwile.

Thkę się po pustych kątach
niczym ćma skazana na śmierć.
Dziś każdy dzień jest trudniejszy
i dłuższy od poprzedniego.

Ireneusz Borkowski, Słupsk

W autobusie usiadł człowiek.
Zwyczajny,
Przeciętny obywatel miasta.
Rozwinął nylon gazety,
Zanurzył się w czytaniu,
Artykułów, wiadomości.
W miarę czytania mina mu zrzędła,
Twarz stała się napięta.
Najwyraźniej
Ogarniało go rosnące niezadowolenie.

Patrzę na jego wściekłą minę,
Myślę sobie:

Ty jedziesz do pracy,
Człowieku...?!
Po co ci teraz ta gazeta?
Czemu się tak denerwujesz przed pracą?!
Czy nie lepiej było wziąć z domu

Mądrą książkę do przeczytania?!
Przecież ty wiesz,
że wiadomości w gazetach
zazwyczaj są złe i niszczące...
Nie szukaj w nich dobra!!

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

NAWET NIE IDEŃ DO WAS

Gdzie jesteście biblioteki,
bym mógł wskrzeszać wasze serca słowem?

Mgła otacza moje strony -
jestem niemą postacią tysiąca słów
nabrzmiałych od bólu w takt marsza
pogrzebowego.

Poezja jest czysta jak nowe źródło
w epoce egoizmu i ucieczek od człowieka.

Mdli mnie ten zasób niewiedzy,
poeta jest komikiem w próżni
doskonali się wśród polityków międzynarodowych
(język nienawiści) w modzie - a kultura jęczy
zastrzykiem przed śmiercią.

Gdzie jesteście biblioteki,
przecież w zbiorach u was jest
tom wierszy „W ogrodzie Norwida”?

Czy to wam wystarczy,
by mieć ten jeden egzemplarz jako dowód?

Jak poznać człowieka który opisał ten wiek
skrzyżowanym rozstajem całkowicie
zduszoną ciszą - nierozpoznawalny,
a trakt jego się nie kończy
choć istnieje w tych wierszach.

Nie idę do was i nie będę się prosił
o wieczór autorski - wystarczy
moje wydmy - gaiiki - łąki...

- To są moje biblioteki!

8.11.2015 - Ustka
Niedziela 7:57

Brygida Simka, Zebrzydowice

ZIMOWA ZADUMA

Zastygłe w bezruchu drzewa
Ubrane w szron jedwabisty
Gdzieś zapatrzone w przestrzeń...
Biel swym spokojem
Każe jakby na coś czekać...
Ptak przeleciał w drugą stronę...
Tam
Ciekawe
Czy też tak wygląda?
Gdy dojdiesz
Jest to samo...
Biel...
Zimowa cisza...
Tylko ptaka nie ma

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

świat karmi nas
falsyfikatem prawd
i człowiekowi brakuje rozsądku
bo jego rozum zamknięty
w szklanej kuli
i chociaż go widzi wydobyć
nie może
nie wie po co żyje

żeby pokierować człowiekiem
wystarczy odkryć jego
słabą stronę i wtedy można go
upodlić i zniewolić

człowiek rozumny upodlić
i zniewolić się nie da
bo będzie swe stopy stawiał
tam gdzie są ślady stóp
jego przodków

Lidia Nowosad, Koszalin

DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

Tylko jeden raz w roku
płoną serca radośnie
kiedy Chrystus się rodzi
by nas zbawić z miłości
i nadzieja się rodzi
że smutki mroki przeminają
wyruszamy z weselem
za rękę z Bożą Rodziną

Gwiazda Betlejemską
rozświetla drogę nieznaną
nie jesteśmy już sami
cel życia jest obrany
idziemy z nadzieją
nic nas nie przeraża
mamy wiarę i miłość
która Boga wyobraża

W blasku świateł choinki
przy stole w rodzinnym gronie
życzenia świąteczne składamy
opłatkiem łącząc dłonie
niech radość serca przepętnia
miłość łączy pokolenia
w ten wyjątkowy dzień zimowy
w dzień Bożego Narodzenia
Niepowtarzalny klimat świąt
dopełnia radosne kołędowanie
„Bóg się rodzi” „Wśród nocnej ciszy”...
rozpoczyna ewangelizowanie

Zdzisław Opatko, Słupsk

NIE JESTEM LITERATEM

strojny w płaszcz kij i sandały
idę
przez złote góry szklane domy
zielone pastwiska
nigdzie nie zatrzymam się na dłużej
nad przydatny czas nad nienasycenie
(...)
każdej napotkanej chwili
jem z ręki
uśmiechów przymilnych nie posyłam z za lat
istnieniu
zbieram z warg ocalale resztki
wystarczają z nawiązką jak na jedno życie
z biletem in blanco...

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

POZOSTAŁY CYGAŃSKIE MELODIE

Rosną jeszcze drzewa
które słuchały dźwięków cygańskiej gitary
i szemrze rzeczka
co poila konie kolorowych wozów
leżą jeszcze głązy ognistego kręgu
co liczyły iskry na wieczornym niebie
ten sam wiatr tańczy który
Cygance kolebkę kołysał
nawet psy we wsi ujadają
jak kiedyś - gdy muzyka i śpiew
płynęły jak fala
Nad łąkami księżyc przystanął
i szuka taboru co odjechał w ciszy
Brzozy kłaniają się nisko
wspominając ze łzami wesołe wieczory
i szepczą w tęsknocie:
już nie płonie ognisko
już nie gra muzyka
tylko las szumem śpiewa
cygańską melodię

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

SIOSTRA LISTOPADA JESIEŃ

Rude pejzaże
w ugrach i brząkach ściany lasów
na polach w parkach i ogrodach jesień
Siostra listopada mgłą snuje się po łąkach
wszędzie jej pełno
a wokół nas liście liście
rudo - czerwone jakby zapomniały o zieleni
jakby nie miały nic wspólnego z wiosną
jakże ich nie kochać
gdy pławię się w purpurach
muskam je ustami bawię się dotykiem
liście koją ból serca niszczą wrogie myśli
- jesienna zaduma -

Bytów kulturalny



Mieszkańcy Bytowa przyzwyczajają się już do wypełniania wolnego czasu w jesienne wieczory, jakie proponuje im Bytowskie Centrum Kultury i Biblioteka Miejska

5 września w Sali Portretowej Muzeum Zachodniopomorskiego odbyło się czytanie fragmentów powieści Bolesława Prusa pt. „Lalka”. Poszczególne role powierzono włodarzom miasta, nauczycielce, pracownicy Biblioteki Miejskiej. Niżej podpisanemu przypadła w udziale rola subiekta Rzeckiego, z której, nieskrótnie mówiąc, wywiązał się w miarę dobrze ku zadowoleniu słuchaczy szczerze wypełniających salę. Kolorytu imprezie dodały panie z obsługi ubrane w piękne mieszczkańskie stroje z epoki, wypożyczone z gdańskiego teatru.



Inną imprezą zorganizowaną tym razem w Centrum Międzynarodowych Spotkań było III Bytowskie Forum Animatorów Kultury. Wykład nt. „Piękniej znaczy lepiej, czyli o znaczeniu działań twórczych w społecznościach lokalnych” wygłosił i forum poprowadził prof. Cezary Prondzyński. Zadał słuchaczom szereg pytań typu: czy dążąc do piękna stajemy się lepszymi, czy zło dzisiaj musi być złe? Odpowiedzi uczestnicy forum szukali na warsztatach, które prowadziły pracownicy Instytutu Kultury Miejskiej w Gdańsku i Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wieżycy. Grupa, w której miałem przyjemność uczestniczyć wylosowała temat dotyczący społecznego sensu twórczości. Zadaniem naszym było przedstawić swoje sposoby dotarcia do jak najliczniejszej grupy odbiorców w jak najprostszej formie. Wybraliśmy plakat, następnie przedstawialiśmy swoje najbardziej zapamiętane doświadczenia twórcze. Wybrałem własne przeżycia podczas biesiad literackich w Kobylnicy ze względu na poddanie ocenie nie tylko wiersza, ale również jego interpretacji, co przyniosło mi dwukrotnie główne nagrody.

Przyznać muszę, że nie łatwo było odpowiedzieć na pytanie profesora: czy miało to jakiś wpływ na moje dalsze życie? Proszę wybaczyć, ale nie rozwinę tego tematu. Drugiego dnia zwiedzaliśmy skansen archeologiczny w Trzebiatkowej, kościół w Łubnie, zagrody kaszubskie w Modrzejewie oraz pracownię malarza Tadeusza Drozdowskiego w Masłowicach. To wsie w okolicach Bytowa. Reasumując, stwierdzam, że forma warsztatów twórczych pobudza do działania, pozwala zabłysnąć i zadziwić.

Muzeum Zachodniokaszubskie zorganizowało w ramach ogólnopolskiej akcji 60+ Kultura spotkania dla seniorów z możliwością uczestniczenia w wykładach poświęconych sztuce dawnej i rzemiosłu w zbiorach muzealnych. Podobnie, choć jednak inaczej niż w roku ubiegłym, zorganizowano BytOFFsky Festiwal Kultury. Wypełniły go przedstawienia, koncerty i warsztaty twórcze. Zainteresowanie przeszło oczekiwania organizatorów. Do udziału zaproszono m.in. mistrzów sceny - Jana Peszka z „Podwójnym Solo” oraz Joannę Szczepkowską z autorskim monodramem „Goła Baba”. Miałem przyjemność oglądać te dwa przedstawienia. Warsztat aktorsko-autorski nie wymaga recenzji. Oklaski na stojąco w przepelnionej sali widowiskowej, okrzyki zachwytu, nieustające brawa - taka była reakcja.

Organizator festiwalu, niezastąpiony animator kultury Jarosław Szreder zadziwił miłośników teatru wprowadzając akcję

sztuki „Pobyt tolerowany” autorstwa Ewy Łukasiewicz i Weroniki Fibich do prywatnych mieszkań. Ze względu na ograniczoną ilość miejsc wydane zostały miejscówki. Temat przedstawienia łączy czasy wojny czeczeńskiej z obecnym spojrzeniem na jej okropności. Niewiedza i niepamięć uczestników spektaklu połączyły się z reporterską faktografią prowadzących. W trakcie inscenizacji pokój mieszkalny zamieniony został w miejsce po nalocie lotniczym. Nie zapomniano o nastrojowej muzyce - wyciu syren, świście bomb podkreślających grozę wojny.

W sumie mieszkańcom Bytowa zafundowano dwadzieścia dwa spektakle sceniczne, warsztaty twórcze, koncerty, wystawy. Wystąpił również miejscowy zespół teatralny „Zamkowa 2” z eksperymentalną inscenizacją „Czerwonego Kapturka”.

Przekazując w znacznym skrócie tę relację chcę pochwalić energicznych, zaangażowanych starszych i młodszych organizatorów festiwalu. BytOFFsky Festiwal Kultury to nie tylko rozrywka, ale także edukacja, której nigdy za wiele.

Andrzej Szczepanik, Bytów



Lutry na Kaszubach

Na maleńkim cmentarzu, w cieniu starych drzew bieleją szeregi kamiennych skrzynek, wszystkie odarte z płyt. Puściły się w ich wnętrzu młode klony i bluszcz pokrywając pustkę zielonym płaszczem

Ci co pamiętali już śpią

Cmentarz w Somoninie na wysokim wzgórzu nad wsią jest nagi, zupełnie odarty z drzew. Zimny wiatr smaga małe klony samosiejki, które puściły się między bluszczami. Pięć sosen na obrzeżach tnie ciemną kreską wieczorne niebo. Ostre, późnojesienne słońce kładzie długie cienie, rozpalając do czerwoności ceglany mur oddzielający cmentarz od szosy. Z boku muru już nie ma, urywa się nagle jakby ktoś właśnie przerwał jego rozbiórkę. Wszystkie groby w miękkiej, zielonej gęstwinie. Czasem tylko stopa zahaczy o jakiś ostry kant, o niewidzialny fragment płyty, o kamień, który wydaje się być zbyt gładki jak na polny. W tym roku obrodziły tu opieńki, których nikt nie zbiera. Na zrudziałych od przymrozku krzakach kołyszą się przejrzałe maliny.

„Vater ich befehle meinen Geist in Deine Hande” (Ojciec powierzam mego ducha w Twoje ręce) - napisano na kamiennym tablicy należącej do Eveline Geisler. Żyła 78 lat, urodzona w 1852 roku w Wandersee, czyjaś kochana żona, dobra matka i babka.

- Jak to się stało, że tylko ten jeden pomnik ocalał - zastanawia się starsza kobieta, pracująca w ogrodzie, przy gospodarstwie. I nie znajduje odpowiedzi. - Czy ktoś mógłby jeszcze pamiętać tych co tam spoczywają - pytam. Unosi głowę znad sterty wyrwanych na zimę dali i patrzy mi w oczy długo. - Nikt tu pani nic nie powie, gdyż ci co pamiętali dawno już śpią - mówi. - Tylko trochę nieładnie, że te drzewa tak pokradziono...

Wokół cmentarza, domek przy domku, wyrasta nowe osiedle. Pastelowe elewacje, czerwone dachy. W oknach zapalają się pierwsze światła, szczekają psy. Ktoś przystanął i przygląda mi się ukradkiem z podwórka.

Przy kutym płotku natrafiam na drugi zachowany nagrobek. Jest to urwany krzyż o zaokrąglonych po kaszubsku ramionach. Śpi pod nim w Bogu Mariette lub Henriette Belchke (napis zmyty prawie) z domu Becker, urodzona w 1824, a zmarła w 1899. Do kamiennych jego ramion tuli się przed zimnym wiatrem samotny krzak bzu...

A ziemia będzie wilgotna...

Maria Walkusz dokładnie pamięta ostatni pogrzeb w 1946 na ewangelickim cmentarzu w Hopowie. Chowano wówczas starego [Dobronca], uroczystość prowadził sędziwy pastor August Weber. W szparach między deskami trumny zbitej w pośpiechu przez stolarza Sztromskiego prześwitywało ciało zmarłego. Nieśli je na ramionach miejscowi gospodarze, Kaszubi i Niemcy pospołu, wśród z nich przyszedł mąż pani Marii, Jerzy Walkusz. „Das Segen, das Regen die Erde wird nass” - śpiewali żałobnicy, jakby przeczuwając, że to ostatnie takie wspólne spotkanie.

Jeszcze w tym samym roku wyjechał w transporcie na Zachód pastor Weber. Nie dotarł do celu, zmarł podczas drogi, w Szczecinie. Najstarsi mieszkańcy wsi mówią, że był z niego dobry i sprawiedliwy człowiek. Ratował miejscowych przed wywózkami, ostrzegał przed aresztowaniami, nie patrząc czy to katolik, czy ewangelik. Dzięki niemu cała wieś ocalała.

- Za to po wojnie spotkał go okrutny los, na który na pewno sobie nie zasłużył - podkreśla jedna z kobiet, która pracowała u Webera podczas wojny jako „mädchen für alle”. - Dokuczali mu nie tylko Rosjanie, ale i miejscowi. W trudnych powojennych czasach wszyscy głodowaliśmy, lecz on już zupełnie nie miał co jeść, wszystkie rzeczy rozdał za kromkę chleba, tego czego nie rozdał i tak mu zabrano. Pewnie w tym transporcie umarł z głodu, słaby już był, miał 85 lat...

Piękny stół na dwadzieścia cztery osoby, przy którym spotykali się pastory z całego Pomorza też „oddał”... Starsi mieszkańcy dokładnie wiedzą kto dziś siada przy tym stole...

Na maleńkim cmentarzu nie ma śladu po tych, których na wieczny odpoczynek odprowadzał pastor Weber. W cieniu starych drzew bieleją szeregi kamiennych skrzynek, wszystkie odarte z płyt. Puściły się w ich wnętrzu młode klony i bluszcz pokrywając pustkę zielonym płaszczem. Z kutyh płotków uchował się jeden. Spoczywa w nim Besitzer Karl Guse, urodzony 20 grudnia 1851, zmarły 19 stycznia 1900. Obok niego zasnął w Bogu Julius Shell, zmarły pięć lat później. „Mój kochany mąż, wasz dobry ojciec” - napisano na nagrobku. Tylko dwadzieścia cztery lata żył Gustaw Schurich. Nikt tu w Hopowie nie pamięta Shellów, Schurichów ani Guse, za to nazwisko Wiegand dramatycznie zapisało się w zbiorowej pamięci. „Mathilde Wiegand - geboren Hoffmann 1856-1900” - czytam na przełamanej metalowym krzyżu opartym o pień

potężnej lipy. - To mogła być jego matka albo ktoś z rodziny - mówi cicho Jerzy Walkusz. Gdy 11 listopada 1939 trwała egzekucja Polaków w hopowskim lesie, Wiegand razem z innymi miejscowymi Niemcami pilnował leśnej drogi. Droga tą wracał do Egiertowa siedemnastoletni Janek Kleina, zwolniony przez Niemców z egzekucji. Wiegand wziął go za zbiega.

- Przez pomyłkę go zabił, nie wiedział, że go puścili. Zakłuł go bagnietem, bo miejscowym nie wolno było strzelać - tłumaczy Jerzy Walkusz. Trochę inaczej całe zdarzenie opisuje Marta Kleina z Egiertowa, szwagierka zabitego: - Wiegand przykuł Janka szabłą do drzewa, bo bał się, że ten opowie o mordzie...

W Hopowie trzech miejscowych Niemców wstąpiło do SS, Wiegand do nich nie należał. W 1945 nie próbował uciekać na Zachód, uważał, że tylko tutaj jest jego Heimat. Po wojnie aresztowany przez polskie władze, został osądzony i skazany na śmierć przez powieszenie. Wyrok wykonano w Gdańsku. Wiegand nigdy oficjalnie nie przyznał się do zbrodni. Gdy podczas rozprawy matka Janka zapytała Wieganda, czy zabił jej syna, zaprzeczył. Dopiero, jak zapadł wyrok

przekazał kobiecie za pośrednictwem doktora Kotłowskiego tę straszną prawdę.

- Może bał się jej spojrzeć w oczy? Może gdzieś w głębi duszy żałował i sam nie umiał się pogodzić z tym co zrobił? - zastanawia się Marta Kleina. Teściowa nigdy nie chciała tego drać. Zaraz po zadaniu pytania wyszła z sali rozpraw i nigdy więcej tam nie wróciła - dodaje.

W 2012 roku odprawiono pierwszy raz nabożeństwo majowe na starym ewangelickim cmentarzu, było to pierwsze nabożeństwo od pogrzebu Dobronca w 1946. Na drzwiach poewangelickiego kościoła w Hopowie, który właśnie jest odnawiany widnieje napis: „EIN FEST BURG IST UNSER GOTT” (Mocną Twierdzą jest Nasz Bóg). W środku świątyni spod grubej warstwy zielonej farby wyłania się charakterystyczny zarys twarzy Marcina Lutra...

Helena Leman, Malbork

Opowiadanie nagrodzone w IV Konkursie Literackim dla Nauczycieli zorganizowanym przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku i Stowarzyszenie Edukacyjne Volumin.

Niobe

Nagły przyptyw sił witalnych odepchnął Zofię gwałtownie od okna, ubrał w spraną bluzkę i niemodne dżinsy, po czym skierował w samo centrum zaludnionego lipcowym upałem miasta



Pielgrzymowanie misternie opracowanym szlakiem miejscowych lumpeksów w dzień głównej dostawy czyniło Zofię podnieconą i rozdrażnioną zarazem. Z jednej strony, imponowała jej swą mocą ta wyjątkowa horda zezwierzęconych istot walczących o wydarcie byle - szmaty. Podniecała ją dominacja silniejszego i cudnie brutalna werbalna przemoc. Z drugiej jednak - odgłosy toczonych bitew nie pozwalały skupić się na tym, co było w te dni najważniejsze - na trofeach. Niezależnie od psychologicznego wysiłku włożonego w stłumienie rodzącej się we wnętrzu anarchii, Zofia czuła się jak na polu dziejowego pojedynku rozstrzygającego o losie dzikich jednostek. Wzbudzały one zarówno litość, jak i agresję.

Spotykała tego dnia na szlaku samoistne nagromadzenie osobliwości. Ciekawiła ją pani ze zniszczoną - w wyniku słabości do trwałej ondulacji - blond czupryną i nieumiejętnie

użytą różową konturówką. Zastanawiał ją przygarbiony jegoćność nie mający najmniejszych szans w starciu z samiczym żywiołem naturalnie predysponowanym do toczenia tego rodzaju bitew. Wzruszała sędziwa grubaska z tajemniczym dostojęństwem w oczach oraz para bliźniaczków zgodnie podążających zawsze tym samym splotem ulic, by z podwójną radością wkroczyć na teren wielkiego sklepu. Charyzmatyczni konkwistadorzy - niczym zwarta armia - każdego tygodnia wracali na wyznaczone pole, by stoczyć kolejny pojedynek jeden na jednego.

Jakże mityczne były to sceny! Czas przestawał istnieć, świat nie kręcił się nad głowami, uniwersalne sprawy traciły wartość. Liczyło się zwycięstwo tu i teraz, a cel uświęcał środki! Z ładny chaos się tworzył! Posegregowane i pooddzielane gatunki materiałów spłoty się w ogromną różnorodną

pfachtę na Bucefocentaura. Trzepotała ona na wszystkie strony, podburzając dodatkowo instynkty władających nią w orgiastycznym tańcu uczestników upiornego misterium. Triumfotorem okazywał się ten, kto zdołał wepchnąć do przymierzalni największą liczbę szmat, z których większość trafiała na biurko kasjerki jako odpowiadająca wyjątkowo elastycznym parametrom agresora. Nauczone pokory pakowaczki uwijały się bez słowa jak mrówki i tylko niezmienny wyraz ich twarzy przesądzał o panowaniu kobiet nad tłumem.

Towarzystwo wewnątrz tego wielkiego magazynu przebrań i form było wyjątkowo głośnie, czego Zofia nie potrafiła zrozumieć. Należało przecież skupić siły na wrywaniu, przepychaniu się, odtrącaniu i barykadowaniu. Tymczasem wokół rozlegał się rozpraszający czynny bazarowy szmer rozmów lub monologów.

Zofia odważyła się zbliżyć do blond czupryny, żeby wsłuchać się w treść wypowiedzianych przez nią magicznych zaklęć. Niestety, najwyraźniej nie była godna współuczestniczenia w tajemnicy. Wataha wygłodniałych sępów napierała na nią coraz silniej. Oddaliła się więc od epicentrum i wylądowała przy zakurzonych płaszczach rozwieszonych na drewnianych wieszakach. Fetor wydobywał się z nich potworny, ale Zofia czuła się w tym miejscu dobrze. Stopniowo oddalając się od rozszalałej masy, mimowolnie stała się świadkiem komicznej sytuacji, która rozegrała się przy największej przymierzalni.

Otóż zdarzyło się, że w chwili, gdy blond czupryna wtargnęła na teren intymny wyznaczony przez ciemnozieloną kurtynę i zaczęła przymierzać z trudem zdobyte kostiumy, obok niej pojawiła się nagle przed lustrem spocona emerytka, zakładając na głowę pomięty niegdyś - kapelusz. Wrzask rozległ się przeraźliwy, blondyna stała przed twarzami ciekawskich w samej bieliźnie, obnażając wszystkie niedoskonałości swego ciała. Zastygła w zawstydzeniu, próbując nerwowo zakrywać dłońmi najbardziej zniekształcone partie luźnego fantomu. A gapili się wszyscy! Jedynie spocona emerytka nie czuła niezręczności sytuacji, wciąż niewinnie oglądając kapelusz, który ledwo mieścił się na jej kwadratowej głowie. Coś tam do siebie szeptała, poprawiała lustro, w końcu zdjęła opieszale nakrycie, wrzuciła je na kupę szmat w drewnianej skrzyni i powędrowała dalej.

Ale blondyna nie dała za wygraną, przyspieszyła kroku i udała się za nią, wykrzykując raz po raz niecenzuralne słowa i wymachując rękoma. A wszystko w pięknej oprawie zszażanego stanika i odśniania lewy pośladek majtek. Tylko ciemnozielona kurtyna kpiąco powiewała, odbijając swoje chytre spojrzenie w lustrze. Nikt nie zwrócił uwagi na starszkę, która odważyła się złamać prawa kolejki i skorzystała z poczucia poszanowania wieku, którego to obecność prawdopodobnie wyczuła instynktownie u blond damy. Niestety, przyszło jej drogo zapłacić za naiwną wiarę w ludzką dobroć - w ciągu zaledwie kilku sekund od pechowego zajścia została wyproszona z - bądź co bądź - kulturalnego lokalu. Blondyna zaatakowała w asyście całego personelu. Zwołany naprędce sąd zakończył się banicją.

W kolejce do luster działy się zwykle rzeczy najciekawsze. Zofia uwielbiała brać udział w pojedynkach na spojrzenia. Doszła do wniosku, że mit o mężczyznach - wzrokowcach wyrósł z niedoceny zdolności kobiet w tej materii. Podczas gdy mężczyźni sycili zmysły kształtami, kolorami i obfitością, kobiety przenikały zjawiska, wybiegały w najrozmaitsze konteksty, sięgały istoty niewidzialnego. Bez wahania jednym spojrzeniem diagnozowały status majątkowy kolejkowicza, jego pozycję społeczną, stopień przebojowości, poziom satysfakcji z życia, a nawet (o zgrozo!) możliwości intelektualne. Te ostatnie i tak nie miały znaczenia w opartym na prawach siły świecie pstrokatych szmat i ich dzielnych zdobywców. Sztylety pojawiające się w kolorowych tęczęwkach

oczekujących w kolejce do przymierzalni sygnalizowały sięgające granic zniecierpliwienie. Niektórzy z nudów szukali wzrokiem miłości, inni bawili się w wypatrywanie rozpoznawalnych lokalnie twarzy. Krótko mówiąc, na płaszczyźnie wzroku panował niespotykany ruch.

Najgorsze było jednak to, że tłum męczył. Szmaty przylatywały uginające się pod ich ciężarem drewniane skrzynie, ale te pozostawały niewzruszone. Nawet brutalne ciosy rąk wyszarpujących tkaniny nie były w stanie skrócić ich solidnego żywota. Życie odpływało za to z Zofii, której krucha sylwetka i nieodporna na wzmożony ruch głowa stopniowo ograniczały możliwości przerobowe we wnętrzu skrzyń. Poczuli, że spłycony oddech spowolnił jej quasi-drapieżne ruchy i zepchnął na margines watahy. W tej sytuacji niemożliwe stało się upolowanie choćby jednej przyzwoitej szmaty.

To nie były dla Zofii udane łowy. Jako jednostka wybitnie słaba i niezdecydowana, opuściła sklep z pustymi rękoma.

Wróci tu niebawem. Zawsze wraca.



Po wyjściu na rozświetloną słonecznym blaskiem ulicę spojrzęła na siebie samczym okiem - wyglądała demonstracyjnie nieatrakcyjnie. Niedopasowane do jej idealnej figury ciuchy miały zapewnić jej niewidzialność. Przecież świat pozbył się Zofii, więc dlaczego miała przypominać się światu. Niemodne kroje, wypłowiałe barwy, przypadkowe rozmiary - jakże trafnie odzwierciedlały one teraz wewnętrzne poczucie bylejakości. Jak bardzo spójne były z aktualną aurą panującą w jej duszy. Miała dziś ogromną ochotę znalezienia w skrzyniach czegoś skrajnie bezkształtnego, tandetnego i odbierającego resztki wysychającej urody. Żałowała, że nie udało się zrealizować tej metafizycznej potrzeby ekspresji nagiej amorficznej duszy. Tego dnia za nic nie mogła przyodziać się w jakąkolwiek formę. I było to tak słodko podniecające. „Od rynsztoka do ściany zygzakami się toczyć, Ranyjulek! swobodny, bezpieczny, jak pies!”.

Powędrowała nad rzekę. Pomimo pięknej pogody, ludzi w okolicy brakowało. Wiedziała, że obok zejścia do wody, dzięki któremu przełamywała od czasu do czasu lęk przed zimnym płynnej tafli, będzie siedziała skamieniała emerytka. Wśród licznie występujących na tym terenie pomników przyrody, ona od dwóch lat stanowiła żywy pomnik ludzki. Przechodzili za jej plecami obojętnie, jakby faktycznie była już tylko kamieniem. Tymczasem wzrok kobiety z płomienną iskrą przenikał tajemnice rzeki, oddzielając je od siebie wewnętrzną cezurą mrugnięcia powieki, rzadziej - spływającej wolno krystalicznie czystej łzy. Splecione ciasno dłonie trzymała na złożonej w kostkę chuście. Siwe włosy tańczyły na wietrznym parkiecie, a zaciśnięte usta odgradzały ją szczelnie od świata. Cała była bezruchem...

Zofia poznała historię emerytki przypadkiem, podczas rodzinnego obiadu w bloku przy ulicy Grotgera, w którym równie przypadkowo uczestniczyła ciekawsza sąsiadka z piętra wyżej. Historia była krótka: najpierw ogromny huk, przeraźliwy krzyk, potem wybuch i cisza. Wszystko to trwało za ledwie kilka sekund. Śmierć jedyne go syna nastąpiła szybciej niż jego odbyty w bólach poród. Zdrowy, prężny, barczysty chłop został złamany niczym gałązka pod czapą lodu. Właśnie wtedy, kiedy zjeżdżał do domu matki po dwudniowej pracy w terenie. W tle Grechuta przekonywał, że: „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”. Od tego dnia było już bardzo cicho. Martwy dom matki stał się ogromną trumną, w której spoczywały obok siebie: krwiojijcza miłość i niewyrażalne cierpienie.

Uciekała z domu - trumny tuż po śniadaniu, chwytając w

ręce dużą kwiecistą chustę w kolorach ziemi. W razie niepogody owijała się nią ciasno, umożliwiając sobie wielogodzinne tkwienie nad rzeką.

Rzeka starała się przepływać u zejścia do brzegu bezszelestnie i niezauważenie, jakby nie odważyła się dotknąć stóp Niobe nawet najmniejszym przejawem swojego akwarystycznego życia. Posągowość emerytki wzbudzała naturalny szacunek. Była samozwańczą panią rzeki. Sądzone, że nawiedzona lub przynajmniej obłąkana, ale już nieodzowną w tym fragmencie krajobrazu.

Tymczasem chusta odrzuciła niespodziewanie w stronę drugiego zejścia. Zofia instynktownie poderwała się z miejsca i pobiegła w stronę rozłożonego na błotnistej ziemi materiału. Nie, tej straty rzeczna Niobe nie mogła doświadczyć! Los już nic nie ma prawa jej zabrać! Heroicznie powstrzymała ją przed kolejnym odlotem, do którego wyraźnie składała się falująca płachta. Wyszarpała ziemi i jak najcenniejsze trofeum bez słowa umieściła na kolanach starszej pani. Dokładnie tak jak leżała ona przed buntowniczym odlotem. Uff, staruszka nie zdążyła zauważyć niesforności swojej powierniczki.

Zofia cofnęła się i wróciła do wielkiego magazynu z drewnianymi skrzyniami. Kupi sobie taką samą chustę, owinie w nią cały swój ból i zostanie panią chłodnych lipcowych wieczorów przy Podgórznej.

Agata Marzec, Słupsk

Opowiadanie wyróżnione w IV Konkursie Literackim dla Nauczycieli zorganizowanym przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku i Stowarzyszenie Edukacyjne Volumin.



Wracając z podsumowania XI edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie przypadkowo zaszedłem do saloniku prasowego na leszczyńskim dworcu PKP. Miałem przy sobie dyplom za zajęcie III miejsca w kategorii poezja wraz z dwoma tomikami pokonkursowymi wszystkich edycji tego konkursu. W pewnym momencie zaczął mnie młody człowiek wyglądający na... dwadzieścia parę lat

Warto było pojechać do Leszna!

Ów młody człowiek spytał się, czy wracam z Grochowiaka? Potwierdziłem, a on zaczął głośno żałować, że przeoczył tę edycję konkursu. Myślał, że trzeba teksty wysłać później. Powiedziałem mu, że jadę do Poznania, gdzie będę musiał czekać na autobus do Słupska. Powiedział, że on też jedzie do Poznania. W pociągu przedstawił mi się jako Grzegorz Lorek, nauczyciel biologii w I Liceum Ogólnokształcącym im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie. Też się mu przedstawiłem i od razu przypomniałem sobie, że to nazwisko skądś znam. (Po przyjeździe do domu sprawdziłem w Internecie, że Grzegorz Lorek to najlepszy nauczyciel w Polsce w konkursie „Głosu Nauczycielskiego” z 2002 roku.) W pociągu od razu poznałem, że mam do czynienia z nietuzinkowym poetą. Wyjął z teczki małą książeczkę, w której zrobił dedykację. To był jego tomik poetycki pod dosyć dziwnym tytułem „201EISBN201D”. Pokazywał mi też różne inne swoje książki poetyckie. W jednej z ostatnich edycji konkursu Grochowiaka też był nagrodzony za poezję, do czego się z satysfakcją przyznał. Obiecałem, że

mu prześlę, już z domu, mój tomik wierszy „Z pragnienia jesteśmy”.

Organizatorzy konkursu w Lesznie proponowali mi nocleg w internacie, ale tak się złożyło, że byłbym jedynym nocującym laureatem. Akurat w kategorii poezji przyznano dwie równorzędne trzecie nagrody: mnie i Jerzemu Fryckowskiemu z Dębnicy Kaszubskiej, ale Jurek z ważnych powodów nie mógł pojechać na podsumowanie. Po finałowej gali w leszczyńskim ratuszu miałem okazję przy stole szwedzkim porozmawiać z innymi laureatami. Był wśród nich wyróżniony trzecią nagrodą w kategorii dramat i słuchowisko radiowe Bartosz Konstrat z Warszawy, który także pisze wiersze i podpisuje się pseudonimem artystycznym „Miłosz Anabell”. Dobrze się nam rozmawiało, sprawiał wrażenie bardzo skromnego człowieka, a jest objawieniem współczesnej poezji, laureatem wielu konkursów poetyckich.

Nie mogę zapomnieć też o rozmowie z przewodniczącym jury Konkursu Grochowiaka - Sergiuszem Sterna Wachowiakiem, prezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy

Polskich. Nasza rozmowa dotyczyła m.in. zaprzyjaźnionej z nim Krystyny Feldman, z którą współpracował w teatrze w Poznaniu. W roku 1999 objął bowiem fotel kierownika literackiego i dramaturga Teatru Nowego im. Tadeusza Łomnickiego, w którym pracował dziesięć lat. Niestety, w 2007 roku pani Krystyna umarła. Była znaną odtwórczynią filmowego Nikifora, a także babcią Kiepską w serialu komediowym.

W kategorii poezja pierwszą nagrodę otrzymała Emilia Mazurek z Warszawy, ale jakoś szybko umknęła i nie miałem okazji zamienić z nią nawet słowa. Za to porozmawiałem sobie jeszcze z laureatem drugiej nagrody - Maciejem Zdziarskim, którego z wyglądu jakbym znał nie od dzisiaj. Od 2007 roku w TVPI prowadził „Kwadrans po ósmej” i „Rozmowę Jedyńki”, a w TVP Info „Rozmowę dnia”. Poetycko debiutował tomikiem wierszy „Taka niespokojność”, wydanym w 1993 roku.

Gdy wchodziłem na wieżę leszczyńskiego ratusza klepnął mnie po plecach jeden gość. Był to Roman Józefiak - przewodniczący Leszczyńskiego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Stowarzyszenie to organizuje co roku Ogólnopolski Konkurs Literacko-Fotograficzno-Plastyczny „Konfrontacje”, w którym parę lat temu też byłem nagrodzony. I znowu była rozmowa.

Gdy jechałem do Leszna pociąg się opóźnił pół godziny, impreza już trwała na dobre w ratuszu. A ja jeszcze musiałem około dwadzieścia minut maszerować. Skontaktowałem się z organizatorami telefonicznie i poczekali na mnie. Gdy wszedłem do sali ratusza pan Sterna Wachowiak miał prelekcję. Właśnie z powodu mego spóźnienia przesunięto czas wręczania wszystkich nagród. Uroczystość zamknął koncert „Grochowiak muzycznie”. Była to premiera kompozycji Brona Saegera do tekstów poety. Wystąpił autor z grupą BBB (Bogie Bron Band).

Podróż powrotna do Kępic zabrała mi pięć godzin czekania na dworcu PKS w Poznaniu na nocny autobus do Słupska. Po przyjeździe w niedzielę około szóstej rano miałem w Słupsku jeszcze godzinkę czekania na kolejny autobus do Kępic. Zmęczony byłem niemifosiernie. Ale warto było pojechać do Leszna!

Grzegorz Chwieduk, Kępic



Konkurs literacki dla nauczycieli

Joanna Krużyńska, Gdańsk - Nagroda Główna

DZIEŃ

Zwija się już dzień, odkłada myśli na jutro,
zamyka czas w starej walizce,
pełnej myśli z poprzednich dni.
Bałagan jak u podróżnika, który zniecałkował opuszcza hotel.
Pomięte decyzje, między rzeczami codziennego użytku.
Dzień w kalendarzowej podróży, między porami roku,
z letniego kontynentu na jesienny.
W ciągłym biegu, by zdążyć na peron tuż po nocy.
Z walizką pełną rzeczy niedokończonych,
letnich wrażeń i ciepłych swetrów jesiennych.

Konkurs Literacki dla Nauczycieli zorganizowała Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Słupsku ze Stowarzyszeniem Edukacyjnym Volumin.

Agnieszka Gałęziewska, Karczemki - Wyróżnienie

DZIEŃ ODPOCZYNKU I POEZJI

Dziś nie mów do mnie żadnych ważnych zdań
Nie pytaj mnie
Czy właśnie tak zaplanowałam swoje życie
Pokaż mi niebo przez zaszywaną szybę
I nie pozwól odwracać wzroku
Przynies mi trochę zimy w rękach
I przyłóż ją do skroni
Obudź mnie łagodnie z szarej obojętności
Wyrwij mnie bezboleśnie z gęstego marazmu
Pomóż mi, pomóż mi uwierzyć
Że spotkam się jeszcze z poezją na niejednym skrzyżowaniu
Że wszystko we mnie będzie jeszcze krzychało
»Życie upijam się tobą«
A potem bezsilna, ale spełniona
Zapadnę się w przestrzeń między płatkami ucha a szyją.

Talizman



Antoni Kamiński nazywany przez krewnych wujkiem Gólkim w swoim przykrótkim życiorysie miał też fragment wojenny. Było nim często przywoływane wspomnienie z okresu, kiedy walczył na froncie. Na prośby młodszych sióstr chętnie im o tym opowiadał



Była gwieździsta jasna noc, bezchmurne niebo i księżyc ciekawie przeglądający się w bajorku obok obozowego placu apelowego, kiedy Antoni został obudzony wraz z towarzyszami okropnym hukiem i trzaskiem pękających desek pochodzącym z za ścian baraku. Słychać było tupot wojskowych kamaszy, rozpaczliwe nawoływania i przeciągające się jęki rannych żołnierzy.

Zanim opadły im z powiek resztki krótkiego snu, wpadł do baraku jak piorun z jasnego nieba „szeryf”, czyli młody porucznik Kulig i gromkim, choć urywanym basem, wrzasnął:

- Chłopaki wstawać! Do okopów! To rozkaz! Francuzi zaczynają atakować!..

Jedna z kul rozwaliła sąsiedni barak.

Chłopaki zrywali się z prycz i pospiesznie ubierali, wskakując w kamasze. Salwy armatnie towarzyszyły im bezustannie.

Prawie w kilka minut wszyscy byli gotowi. Ponaglani przez Kuligą uformowali się w czwórki, wyruszając natychmiast w stronę okopów.

Lekka mgła spowijała ziemię, a na mchach i krzakach skrzyły się krople porannej rosy. Nad głowami przelatywały z sykiem raz po raz pociski i pękały szrapnele. W oddali huczały bezustannie działa. Ziemia jęczała, raniona co chwilę w głębi swojej masy. Atak wroga rozpoczął się na dobre.

Kilka kroków przed Antonim pojawiły się najeżone kolcami zapory broniące dostęp do okopów. Gdy w bezpośrednim ich sąsiedztwie wybuchł kolejny granat, wszyscy natychmiast przywarli do ziemi, wstrzymując oddechy. Z okopów do uszu Antoniego, przygłuszonych obustronną strzelaniną, doszedł przeciągły odgłos gongu, a powietrze przybrało równocześnie jakiś ostry, duszny zapach.

Antoni podniósł głowę. Nad ziemię unosił się żółtozielony obłok. - A to co? - Nigdy czegoś takiego nie widział. Stojący na jego krawędzi „Szeryf” patrzył na żołnierzy z przerażeniem w oczach, jednocześnie rozpaczliwie szukając rękoma w powietrzu czegoś, co - jak się wydawało - powinno znajdować się przy nim. Nie znajdując jednak niczego, zachowywał się jak ślepiec. Miotał się przez chwilę, po czym wrzasnął nieludzkim głosem:

- Boże to gaz!!!.

Antoni Kamiński momentalnie sięgnął ręką po swoją maskę, którą jak wszyscy powinien mieć przewieszoną przez lewe ramię. Na próżno. Nie miał jej, podobnie jak „Szeryf”. Zrywając się w pośpiechu na ogłoszony alarm, nie zabrał maski.

Z przerażeniem spojrzął na towarzyszy. Kilku już włożyło na twarze ochronne gumy, reszta z Kuligiem spoglądała na siebie błędnymi ze strachu oczami. Większość z nich, działając w wielkim pośpiechu, także nie zabrała masek.

Przed wszystkimi unosił się porażający zmysły zapach śmierci. Na wszelką ucieczkę czy odwrót w stronę baraków było, niestety, za późno.

Antoni przeżegnał się odruchowo, czując wielką niemoc i okropne duszenie w gardle. Palcami objął w panice szyję i zaczął nerwowo targać kołnierz munduru. W tle odgłosów charczenia towarzyszy słychać było tylko głuche walenie dział armatnich i warczenie granatników. Drżącymi z bólu ustami wymamrotał z trudem „Maryjo święta...” i odruchowo do ust wcisnął kawałek oddartego kołnierza munduru. I w tym momencie stracił przytomność.

Nikt nie wie, jak długo leżał. Kiedy z trudem otworzył oczy, mżył drobny deszcz. Antek był bardzo słaby i wyczerpany. W ustach miał pełno piasku i jakiś miękki przedmiot. Wkoło krzatali się jacyś ludzie, zapewne sanitariusze. Ich obraz po chwili znów mu się rozmył. Znowu stracił przytomność.

Następne przebudzenie nastąpiło dopiero w prowizorycznym szpitalu polowym. Koło Antoniego stało dwóch rudych pielęgniarzy dziwiących się, że... „Ten Polak przeżył?”.

- Jakim to cudem ten Polak wyszedł cało z tego obłączenia?

Jak się okazało, przeżył tylko on i jego współtowarzysz z baraku, który w momencie ataku chemicznego stał przy nim.

Nad nim pochylał się teraz ten bardziej rudy z sanitariuszy. Dotykał go i mamrotał do tego drugiego: - Widziałeś to? Widziałeś??? Nawet ci, co zdążyli założyć maski, nie żyją. A on dycha. Czy ty coś z tego rozumiesz?

- Chyba, że śmierć dla każdego z osobna pisze inny scenariusz - odparł ten drugi.

Tak rozważając café zdarzenie, ułożyli Antoniego na prozorycznych noszach.

Antoni obolałą dłonią namacał szmatę, którą wcześniej włożył do ust, a teraz, wyciągnięta przez któregoś z sanitariuszy, tkwiła na jego piersi. Przysunął ją w obręb wzroku. Była zabrudzona piaskiem i krwią, która w pamiętnej chwili zapewne poszła mu nosem i ustami.

Ten kawałek kołnierza stanowił ochronę dla zapomnianego podczas pobytu na froncie, zaszytego w nim szkaplerza z wizerunkiem Matki Bożej.

Babcia Rozalia, znając porywczy charakter swojego syna, zawiesiła mu go na szyi, aby chronił jego i najbliższych kolegów w niebezpieczeństwie. - „Weź go synku, i czasami

westchnij do Niej. Ona go dała ludziom, aby w potrzebie nie obawiali się niczego”.

Tajemnicą jest, ile polskich matek jego współtowarzyszy z innych baraków żegnało w ten sposób swoich synów, aby wygrali tę bitwę ze śmiercią. Drogi wszystkich się rozeszły i nigdy się nie spotkali.

Na froncie Antoni zapomniał o swoim talizmanie i o tym, że umieścił go w kołnierzu munduru, aby nie zgubić tak cennej pamiątki od matki. Nie rozumiał zdumienia pielęgniarki, aż do momentu, kiedy odczytał po dwóch tygodniach rekonwalescencji listę poległych.

Całą tę historię opowiedział swojej siostrze Jance i Jadwidze. Ta ostatnia zapisała ją w swoim pamiętniku.

**Zofia Smalewska
Naćmierz**

„Banany i cytrusy czyli jedź do Azji”



Otrzymałem książkę - reportaż „Banany i cytrusy, czyli jedź do Azji”, która jest dla mnie miłym zaskoczeniem. Jej autorem jest Artur Malek - mój były uczeń, absolwent Technikum Leśnego w Warcinie

Nie wiedziałem, że przygotowuje tę książkę. Pisałem o nim w „Powiecie Słupskim” nr 11-12/2014 w artykule pt. „Dobrobyt Norwegów jest widoczny”, po mojej wizycie w Norwegii. Teraz otrzymałem od niego zbiór reportaży jako wynik trzech podróży, które odbył do kilku krajów dalekiej Azji w latach 2013-2015. Książka jest podzielona na trzy rozdziały, zgodnie ze zrealizowanymi wyjazdami. Pierwsza podróż odbyła się do Tajlandii i Kambodży, następna do Birmy, Laosu - obie komunikacją lotniczą, a niedawna lądem - do Wietnamu. Ostatni rozdział jest rozbudowany o wszystkie kraje tranzytowe przejazdu kolejją.

Jest to wyjątkowa relacja z podróży i próba pokazania, jak można dotrzeć na Półwysep Indochiński od strony kontynentu euroazjatyckiego, pokonując kolejne kraje: Rosję, Mongolię, Chiny. Zrealizowana podróż lądem jest wyjątkowa. Na uwagę zasługuje relacja z przejazdu kolejją transsyberyjską, z którą związane są także przykre przygody autora na ziemiach naszego sąsiada. Długa podróż kolejją to realizacja dawnych marzeń autora, aby zobaczyć Syberię, Bajkał, tajgę, deltę Mekongu, chiński mur i wiele innych ciekawych miejsc. Autor opisał podróż z Polski do Wietnamu, która trwała miesiąc. W tym czasie pokonał kilka tysięcy kilometrów lądem z Warszawy, do Moskwy, Irkucka, okolic Bajkału, potem przez Mongolię, Pekin i południe Chin - do stolicy Wietnamu - Hanoi.

Artur Malek jest leśnikiem, od kilkunastu lat mieszka w Bergen w Norwegii i po uzyskaniu pewnego statusu

NOWE KSIĄŻKI

finansowego urzeczywistnia swoje dawne marzenia. Jest młodym podróżnikiem, określa siebie jako człowieka ciekawego poznania świata. Krajami na Półwyspie Indochińskim interesował się od dawna, a wzmożyły się jego zainteresowania nimi po pierwszej podróży do Azji. Był tak zauroczony tym obszarem geograficznym, że zorganizował następne dwie wyprawy.

Książka jest ciekawie napisana i starannie wydana. Poszczególne reportaże są napisane językiem żywym, barwnym. Narracja jest intrygująca, uwzględnia opis wydarzeń z równoczesnym aktywnym zaznaczeniem rozgrywającej się akcji. Miejsca i fakty są szczegółowo udokumentowane. Autor zwraca też uwagę na zachowanie oryginalnej pisowni, co ma duży walor praktyczny.

Po przeczytaniu książki i obejrzeniu zamieszczonych w niej ciekawych zdjęć, chciałoby się tam zaraz pojechać. Ma się pewność, że planowana podróż będzie udana.

Sam autor tak pisze o swojej książce: „Piszę, żeby pokazać Wam, Drodzy Czytelnicy, że warto podróżować daleko, że nie jest to wbrew pozorom takie drogie i niebezpieczne, jak się wydaje, oraz że prawie każdy może to zrobić. A warto. Choć jeden raz w życiu, żeby zobaczyć, przeżyć, sprawdzić się, roześmiać lub zapłakać. Żeby żyć i doceniać to, co się ma tu i teraz.”

Brakuje takich publikacji na rynku czytelnicy, dlatego tym bardziej warto po tę sięgnąć.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Artur Malek: „Banany i cytrusy, czyli jedź do Azji”, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka k/Wrocławia, 2015.



O „Pomorskich Klimatach”



Na początku sierpnia br. roku, a więc w połowie wakacji, otrzymałam wreszcie spóźniony dyplom za wyróżnienie w XIX Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Pomorskie Klimaty” w Koszalinie

Imprezę finałową odwołano, ponieważ jako jedyny potwierdziłem telefonicznie udział. Inni laureaci z różnych względów nie mogli przyjechać i organizatorom konkursu nie opłacało się robić podsumowania. Gratyfikacja finansowa przyszła pocztą szybko, a po dwóch miesiącach wspomniany dyplom z pokonkursową książką, ale z wcześniejszej XVIII edycji, w której zdobyłem pierwszą nagrodę. Książki pokonkursowe zawsze wydawane są z rocznym opóźnieniem.

Trzymam wreszcie tę 52-stronicową książeczkę, w której są nagrodzone i wyróżnione teksty. Akurat moje wiersze były już drukowane w „Powiecie Słupskim”, dlatego chciałem skupić się na kilku innych nagrodzonych twórcach. Będzie to mój subiektywny wybór.

Na stronie 14 jest wiersz „Ślad”, laureatki II nagrody, Małgorzaty Kierat ze Świętochłowic:

*„Zostać zapamiętanym: czyż nie po to żyje człowiek?
Na plaży tysiące śladów walczących z czasem
o znaczenie dla potomnych.
A ty, wieczna wodo, zachłannie zlizujesz odciski
na plażach pamiętki naszych stóp i dni*

A my... cóż my? Byliśmy, przeminiemy i przyjdziemy znowu (...)

Beata Kalińska z Cieszyna otrzymała III nagrodę. Jeden z wierszy, bez tytułu napisała w sierpniu 2013 roku w Mielnie:

*„Ja ryba
rzucona na piasek
wypatruję wodorostów
śliniac wysuszone oczy
obracam przypieczony bok
skwierczy
czasem woda polizę mi stopy
palczaste łódki odchylone zalotnie
w stronę morza
nie ma tu kotów ani rybackich sieci
powietrze jest bezpieczne i słone
ruszam pyszczkiem
i z chleba pamięci toczę bezmyślne kulki
przesypuję się pomiędzy ziamami
jak dni w których byłam człowiekiem”.*

Trzyście stron pokonkursowej książki zajmuje wyróżnione zabawne opowiadanie „Przedział nr 15” Alicji Flis z Białogardu. Oto jego fragment:

*- Bilety do kontroli proszę! - rozkazał służbowo.
- Proszę pana - zwróciła się do mężczyzny starsza pani
- czy zdejmie mi pan walizkę?
- A dokąd pani jedzie? - zapytał.
- Do Sławna - powiedziała łagodnym głosem.
- Ale wie pan, ja mam demencję starczą i mogę o niej zapomnieć albo wszyscy wysiądą i nie będę miała kogo poprosić o pomoc.
- Niech się pani nie martwi! Wysadzę panią w Sławnie - obiecała pasażerka numer dwa.
- A jak pani wcześniej wysiadzie? - zaniepokoiła się starsza pani.
- Jadę do Białegostoku, wysiadam ostatnia! Bez obaw. (...)
- Mam do pana prośbę - starsza pani zatrzymała wychodzącego konduktora.
- Słucham - powiedział beznamiętnie.
- Chciałam prosić pana - zaczęła drżącym głosem - aby pan zdiął moją torbę.
- Ale jeszcze daleko do Sławna - ofuknął ją.
- Daleko? - zapytała splotzona. - Bo widzi pan, ja mam demencję starczą i mogę zapomnieć nie tylko bagażu, ale nawet o tym, dokąd jadę.
- Ale my wiemy - przerwała jej wywody pasażerka numer dwa. - Wysadzę panią w Sławnie.
- Bardzo pani dziękuję, bardzo.
- To wszystko? - zapytał konduktor.
- Jakby pan zdiął mi torbę, żebym nie zapomniała jej zabrać, to byłabym bardzo wdzięczna.
Starsza pani patrzyła na niego prosząco, ze złożonymi na piersiach rękoma.
- Niech pan nie zdejmuję - zatrzymała konduktora pani siedząca przy oknie.
- Powiedziałam, że zdejmę, to zdejmę! - dodała poirytowana.
Konduktor ruszył w stronę drzwi, przy których siedziała babcia. Zatrzymała go ruchem ręki.
- Bo widzi pan - zaczęła tłumaczyć - bo ja mam...
- Wiem - warknął zniecierpliwiony konduktor - demencję starczą.
- To też - przytaknęła starszka, lecz mężczyzna był już na korytarzu.
- Chciałam mu powiedzieć - starsza pani była rozczarowana - że mam w torbie czekoladki i mogłabym wszystkich poczęstować”.*

Kiedy czytałem to opowiadanie przypomniała mi się podróż pociągiem z Koszalina z finału którejś edycji konkursu literackiego „Istota człowieka”. Jechałem wtedy z nieodżałowanym Januszkiem Wanago i siedziała z nami w przedziale starsza pani. Januszek podarował jej swoje fraszki, a ona poczęstowała nas obu czekoladkami. Ta pani też jechała do Sławna, Wanago wysiadł na następnej stacji we Wrześnicy, a ja na końcu - w Słupsku.

Grzegorz Chwieduk, Kępice